№ 1. Piątek, dnia 2 Października 1874 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA
dnia 20 września (2 października)
1874 r.

„OGNISKO DOMOWE” wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; —
kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA
przy ulicy Bielańskiej
Nr 8 nowy.

Ognisko Domowe.

———

Różne na świecie są do szczęścia drogi,
I różne szczęścia ludzkiego rodzaje;
Lecz kto chce żywot mieć prawdziwie błogi,
Niech w Imię Boże w pracy nie ustaje,
By, choć pod strzechą ubożuchną, niską,
Posiąść domowe ognisko.

Bo niczem złote berła i korony,
I niczem wieńce, które sława splata,
I niczem rozkosz, blask i przepych świata,
I świat ten cały u nóg położony;
Ach! bo z tem wszystkiem człek szczęścia nie [zyska
Bez domowego ogniska.

A świętej iskry, która je rozżarza,
Nikt ni z klejnotów nie skrzesa, ni z złota,
I nie zbuduje dla niego ołtarza
Potęgą miecza, ani siłą młota;
Bo tylko z Bożej miłości wytryska
Blask domowego ogniska.

Blask to cudowny, w którym się rozgrzeją
Serca przeziębłe w złych losów zamieci,
Oko, łzą zaszłe, zabłyśnie nadzieją,
I czoło chmurne pogodą zaświeci;
Bo znika wszystko, co duszę uciska,
U domowego ogniska.

Więc o tę Miłość Bożą, z której Wiara,
Z której Nadzieja życiodawcza płynie,
O nią najpierwej i o nią jedynie,
Każdy, kto szczęścia szuka, niech się stara;
A resztę wszystko w naddatku uzyska
U domowego ogniska.

Święte ognisko domowe!... mój Boże!
Jestże na ziemi inne jakie miano,
Co tyle naraz wypowiedzieć może?
Wlać w serca błogość taką niezrównaną,
I Nieba ludziom przychylić tak blisko,
Jako domowe ognisko?!

Z niem się kojarzą najsłodsze imiona
Ojca rodziny, i matki, i dzieci,—
Tej trójcy ludzkiej, gdzie, jakby wcielona,
Trójca Najświętsza króluje i świeci;
A więc i nie dziw, że Niebem odbłyska
Blask domowego ogniska.

Więc prosząc: „Przyjdź Twe królestwo,
Niech się u Boga duch nasz upomina, [o Panie!”
By nie ustało Jego królowanie
W trójcy człowieczej, aby, jak rodzina
Cały ród ludzki zmienił swe siedlisko
W jedno domowe ognisko.

Aby nieszczęśni ci wydziedziczeni,
Wieczni tułacze, bezdomni śród świata,
Co im dziś duszy nikt nie rozpromieni,
Nikt ojca, matki, dziecka, siostry, brata,
Nigdy z odkiego nie da im nazwiska
U domowego ogniska,

I ci, co oprócz rodzinnego grona,
Wszystko już mają, — raz skończyli wreszcie
Smutne sieroctwo!.. A więc, możni, spieszcie
W starości dziatwę ubogą do łona,
W młodości starce przygarnąć miłośnie;
A jakby cudem rodzina wam wzrośnie,—
Bo ojciec syna, syn ojca tak zyska
U domowego ogniska.

Komu zaś ono dziś już świeci jasno
W własnej rodzinie, niech się z nią zespoli
Jednością myśli, uczucia i woli;
Niech, jak te iskry, co migną i gasną,
Samochcąc nigdy duchem nie odpryska
Od domowego ogniska!...

Był święty ogień w starożytnej Romie,
Strzegły go czyste dziewice, a srogą
Śmiercią ginęły, jeśli jego płomię
Zgasło z ich winy: bo wróżbę złowrogą
Upatrywano w tem Bożego gniewu
I klęsk wszelakich strasznego wylewu....
O stokroć świętszy dzisiaj ogień błyska
Nam z domowego ogniska!

Więc jak Westalkom w Romie, tak w rodzinie
Wszystkim wraz sercom stać przy niem na
A biada, kto je zgasi lub znieważy!.. [straży
Giną rodziny i społeczność zginie,
Gdzie się zmieniają w zimne popieliska
Święte domowe ogniska!

Niechże więc wszyscy wkoło nich poklękną,
By czystem ducha gorącego tchnieniem
Wciąż je podniecać, aby dobro, piękno
I prawda, coraz to żywszym płomieniem
Gorejąc, w siły zbogacały nowe
Święte ognisko domowe.

Lecz taki płomień tylko się roznieci
Pod tchnieniem piersi, gdzie Duch Boży gości;
Bo bez Mądrości Jego nic nie świeci,
I nic nie grzeje bez Jego Miłości;
Więc chłód i mroki owioną grobowe
Bez nich ognisko domowe.

Więc conajwięcej światła, światła z Nieba,
I conajwięcej z Nieba ukochania,
Przez najżarliwsze trudy i starania
Z wszelką ofiarą zdobywać nam trzeba,
Ażeby mogło niemi swej młodzieży,
Nim ta od niego dalej w świat odbieży,
Zapalić serce i rozjaśnić głowę
Święte ognisko domowe.

Ach! bo z tem światłem i ciepłem jedynie
Nie zajdzie ona na żadne bezdroża,
I w żadnych mrokach ni chłodach nie zginie;
A czy ją wróci kiedy wola Boża
W progi rodzinne, czy od nich oddali,—
Śród najburzliwszej przeciwności fali,
Nigdy jej sercu nie będzie odjęte
Domowe ognisko święte.

Bo Miłość Boża wielkie cuda czyni,
Bo dziwna Pańskiej Mądrości potęga!
Bo jedna z drugą wszystko łączy, sprzęga,
I z niemi choćby w najdzikszej pustyni,

Człowiek rozniecić zdoła sobie nowe
Święte ognisko domowe.

Bo każde serce pójdzie doń znajdalej,
Każdy się umysł przychyli uprzejmie;
A gdy to serce swym ogniem zapali,
A gdy ten umysł swojem światłem przejmie:
Śród obcych — braci z ducha i gotowe
Znajdzie ognisko domowe.

I cała wielka ludzkości rodzina,
Gdy ją ukocha, gdy dla niej ochoczy
Trud swój poświęci, uzna go za syna,
Szczerej miłości opieką otoczy,
I u jej serca, szczęśliwy, odzyska
Czar domowego ogniska.

Więc wszystkie myśli, uczucia i chęci,
I wszystkie siły każdy niech w to włoży,
Aby żył w każdej rodzinie Duch Boży,
Abyśmy wszyscy Jego ogniem zjęci,
Czy to zdaleka od niej, czy z nią blisko,
Jak w niej, tak w kraju i w ludzkości rzeszy
Mieć mogli dobro takie, jakiem cieszy
Święte domowe ognisko.

ADAM PŁUG.

Haliczanin-Ziewonia.

Z KSIĘGI WSPOMNIEŃ

K. Wł. Wójcickiego.

I.

Haliczanin

W pierwszej połowie 1830 roku ukazały się w Warszawie dwa tomy pisma zbiorowego p. n. *Haliczanin*, wydawany przez Walentego Chłędowskiego, we Lwowie.

Rozchwytano pierwsze egzemplarze, jakie się pojawiły, a przejrzane wywołały naprzód zadziwienie, a następnie poklask między młodem gronem literatów, którzy wszyscy stanęli odrazu pod chorągwią romantyzmu.

Oprócz trzech znanych pisarzy, jak Aleksander hr. Fredro, Jan Nepomucen Kamiński i Tymon Zaborowski, przybył orszak spory nieznanych i pierwszy raz występujących w szranki literackie, młodych pisarzy.

W *Haliczaninie* każdy ze zwolenników literatury ojczystej znajdował pożywną strawę duchową; myśliciel i filozof w rozprawach samego redaktora, i J. N. Kamińskiego, krytyk w poglądach estetycznych, poeta w zasobnym zbiorze wierszy i poezyi: do tego dodajmy dramat i powieści, a przekonamy się, że pismo to odpowiadało wielostronnym wymogom ówczesnym. Dwa spore tomy, w szerokich ramach, obejmowały łatwo wszystkie tak różnorodne przedmioty: tom pierwszy zdobiło popiersie *Aleksandra hr. Fredry*, tom drugi *J. N. Kamińskiego*. Wydawnictwo całe podług prospektu miało objąć cztery tomy, ale dwa tylko wyszły.

Odczytywano uważnie rozprawę W. Chłędowskiego, p. n. *Arystoteles sędzia romantyczności*, tak harmonizującą z ogólnym ówczesnym prądem i pogardą jaką okrywano zapleśniały klasycyzm. Autor stawia tego prawodawcę literackiego, na którego powagę odwoływali się najzapaleńsi krytycy, na stanowisku, jakby on sądził utwory literatury europejskiej, począwszy od średnich aż do naszych czasów, po rok 1830. Stawia pod sąd jego: *Kalderona*, *Szekspira*, *Goethego i Szyllera*, i wypowiada sąd Arystotelesa o tych poetach jaki by dał, gdyby znał ich utwory. O dwóch pierwszych, wspominając o mięszaniu tragiczności z komicznością, mówi:

„Arystoteles, dla Szekspira i Kalderona, którzy często używali owego sposobu, miałby więcej poszanowania, niż wielu z teraźniejszych krytyków; byłby on zapewne zgłębił i pojął powody tego postępowania, a serca swego nie byłby zamykał przed wrażeniem tyle skutecznem, a pochodzącem z prawdziwego obrazu życia.“

Zwraca następnie mowę do Józefa Korzeniowskiego, że Arystoteles byłby sprawiedliwszy w sądach niż on, który o tragedyach Szekspira powiada: „że nie są czystemi tragedyami, dlatego, że w nich znajdujemy pomięszanie scen poważnych ze śmiesznemi.“

Przy tej sposobności, bierze pod uwagę: *„Kurs poezyi*,“ tego pisarza, wydany w Warszawie 1829 r., i ocenia tę pracę w następnych słowach:

„Autor trzyma się w układzie znanej powszechnie teoryi sztuk pięknych *Eschenburga*, gdzie niegdzie stosuje zdania nowszych estetyków, a w oddziale historyczno-rozbiorowym o poezyi dramatycznej, wszystko z *Szlegla* wyjmuje, tylko się z nim co do powyższego miejsca o Szekspirze nie zgadza. Zasługą Korzeniowskiego jest, iż wyższe starał się dać o poezyi pojęcie: dziwna jednak, iż przytem, w szczegółowych zdaniach o różnych rodzajach poezyi tyle fałszywych umieścił, co stąd tylko wytłomaczyć się daje, że gromadząc zbiorowo, różne, różnych autorów myśli, nie wychodził z jednego stanowiska, a własnego nie miał. Tego Słowackiemu (Euzebiuszowi, ojcu Juliusza), lubo tyle pod względem pojęcia poezyi, niższemu, zarzucić nie można. Jeden i drugi ma swoje osobne zalety, ale prawdziwej estetyki, jeszcze dopiero oczekiwać mamy.“ [1])

Chłędowski rozpoczynając swoję ocenę Szekspira, na czele mówi: „Śniadecki, oburzywszy się na znaną powszechnie rozprawę o *Klasyczności i Romantyczności*,“ K. Brodzińskiego, przybrawszy własność *osełki*, takie nam daje definicye, tych dwóch mniemanych poezyi rodzajów. *„Klasycznem*, mówi on, jest to co się zgadza z prawidłami Boala, Dmochowskiego i Horacego; *romantycznem* zaś to, co przeciwko tym prawidłom grzeszy i wykracza.“ To się znaczy prawdziwie z romantycznością niewiele robić ceremonii. Z takiego wyobrażenia o poezyi wychodząc, powiada w innem miejscu, że to jest ciekawe pytanie: „czyby był Szekspir tak pisał, gdyby był znał przepisy Arystotelesa i Horacego, gdyby się był dobrze obeznał z dziełami Greków i Rzymian, gdyby był czytał Rasyna i Moliera, gdyby miał tyle nauki i światła ile pisarze dzisiejsi.“ Na odpowiedź możnaby zrobić jeszcze ciekawsze pod tym względem zapytanie: czyliby Homer tak

[1]) Korzeniowski młodzieńcze to zdanie swoje później zupełnie zmienił, stał się gorącym wielbicielem Szekspira, i gdy go poznał w oryginale, dał nam najwyborniejszy przekład *Króla Jana*.

U OGNISKA.

U ogniska! tak jest, u ogniska zebrani, ślemy Wam czytelnicy serdeczne powitanie nasze.

Odtąd co tydzień na tem miejscu będziemy się z Wami — według słów poety— „dzielić duszą i myślami.“

Celu naszego— którym, jak już wiecie, jest dążenie do królestwa wiedzy i prawdy—i tutaj ani na chwilę nie spuścimy z oka.

Środkiem, za pomocą którego dojść zamierzamy do tego celu, będzie zacięta, ale zarazem cicha i spokojna walka z wrogami światła i prawdy: ciemnotą, fałszem i przesądem.

W postępowaniu naszem, o ile sił starczy, unikać będziemy zarówno środków drażniących jak i heroicznych — unikać będziemy wszelkiej bezcelowej polemiki i zawsze jednostronnej krańcowości.

Myśli, zdania i sądy nasze, wypowiadać będziemy zawsze, bez żadnej obawy, szczerze i otwarcie— ale starać się będziemy aby w tych myślach mieściło się zdrowe ziarno—aby zdania nasze były trafne, a sądy uzasadnione.

W pochwałach naszych będziemy ostrożni i sprawiedliwi — w naganach równie sprawiedliwi ale jeszcze ostrożniejsi. Kiedy będziemy mogli chwalić, uczynimy to z radością; kiedy nam ganić wypadnie, rządzić się będziemy miłością i wyrozumieniem.

W stosunki życia prywatnego pojedynczych *osób* nigdy wdzierać się nie będziemy; tylko *człowiek*, występujący w jakimbądź charakterze na widownię publiczną, będzie przedmiotem naszych uwag i spostrzeżeń.

U ogniska tedy, spotkacie ludzi i ich czyny, spotkacie myśli i fakta, i sąd o tem wszystkiem— bezstronny.

Jako zadatek przyszłej bliższej znajomości, dajemy wam to nasze wyznanie wiary, a od Was żądamy tylko na początek,— uwagi.

Gdy się przekonacie, że w miarę sił i możności służymy uczciwie i pożytecznie sprawie ogółu, wówczas obdarzycie nas najcenniejszą i najmilszą zarazem dla nas zapłatą— obdarzycie nas Waszem zaufaniem.

Teatrzyki ogródkowe zakończyły już onegdaj pracowity swój żywot na scenach Eldorado i Alhambry (póżniej Tivoli), pozostawiając te przybytki życia, gwaru a nieraz i pustego śmiechu, osieroconemi aż do przyszłego lata. O ile wpływ tego rodzaju ludowych przedstawień może korzystnie oddziałać na podniesienie moralnej strony uczęszczającej na nie publiczności, tego dowodzić nie potrzebujemy. Już samo rozbudzenie pomiędzy mniej oświeconą publicznością zamiłowania do przedsta-

pisał, gdyby był znał Arystotelesa i Horacego Rasyna i Moliera? Chciejmy jednak z poszanowania rzucić zasłonę na tę skazę w literackiej Śniadeckiego sławie.“

Ustęp ten w gronie przyjaciół odczytywał Maurycy Mochnacki, była to woda na jego koło; na parę lat przed tem albowiem, sam, w swoim *Dzienniku Warszawskim*, wystąpił już przeciw Śniadeckiemu w kilku obszernych rozprawach. Wszyscy uznali jednomyślnie, że znakomity mąż w nieswoję rzecz się wdawał, nie pojmując znaczenia poezyi. Koniec tej rozprawy Chłędowskiego zachwycał wszystkich.

„Arystoteles, gdyby stanął między nami, (pisze w nim) i rzucił okiem na literaturę naszę, pogroziłby surowo znarowionym zwolennikom fałszywych wyobrażeń, nazwałby ich w gniewie wyrodnymi swojej *Poetyki* synami, naganiłby im ostro, iż zamiast poznawania i zgłębienia ducha nowszej dążności, zamiast dopomagania rozkrzewieniu się jego w narodzie, opornie przeciwko niemu stawają. Włożyłby laurowy wieniec wielorakich zasług na Brodzińskiego skronie — do Mickiewicza zaś, Zaleskiego, Goszczyńskiego, Witwickiego i wielu innych, których i w naszym *Haliczaninie*, będziemy mieli sposobność dać poznać, odezwałby się w ten sposób: „Młodzi, pięknych nadziei polubieńcy *Feba!* Puszczajcie się śmiało i z wytrwaniem w tę wyższą poezyi dziedzinę, na której błoniach tak zaszczytnie pierwszemi stanęliście krokami, przejmijcie się duchem prawdziwego poezyi pojęcia, nie dzielcie jej na stronnictwa i próżne nazwy klasyczności i romantyczności; szanujcie starożytność i jej dzieła, jako płody wielkich geniuszów, lecz obok nich zgłębiajcie naturę i prawdę. Będąc synami innych cale wieków, przedstawiajcie życie ludzkie i dzieje waszego narodu w żywych obrazach, do czucia i ducha waszych braci przemawiających: kochajcie z zapałem cnotę, podnoście ku niej serce współziomków, przyozdabiajcie wasze obrazy pięknością form, nie martwych i niewolniczych, ale z ducha przedmiotu i waszych pomysłów organicznie wywiedzionych, a tak, objawiając wasze twórcze siły w dziełach duchowi waszemu odpowiednich, utwórzcie nowy świat poezyi, i stańcie się rozkoszą i chlubą waszego narodu!“

Przepowiednia redaktora *Haliczanina* spełniła się co do słowa, odezwa ta jednak rozgniewała cały obóz klasyków, który z dniem każdym coraz więcej pustoszał.

Chłędowski na czele pierwszego tomu zaczął drukować rozprawę obszernych rozmiarów: „*O filozofii*,“ mającą się składać z dwóch części: 1) O jej potrzebach i korzyściach. O przeszkodach tamujących u nas jej postęp. 2) Obraz filozofii niemców od Kanta aż do najnowszych czasów: ale w dwóch tomach pomieścić jej niepotrafił, i w następnych miał mówić, o Kancie, Fichte'm, Schelling'u, Heglu, dalej wykazać nowszą dążność filozofii niemieckiej, ale wydawnictwo przerwać musiał.

Jan Nepomucen Kamiński, niezapomnianych zasług jako wskrzesiciel sceny polskiej w Galicyi, tłumacz *Kalderona* i trylogii Obóz Walensteina Szyllera, wierszopis z rzetelnym talentem, nagle z pola literatury dramatycznej i poezyi przerzucił się na stronę ciemnych zaciekań filozoficznych i wydrukował w obu tomach *Haliczanina* badania swoje:

„*Czy nasz język jest filozoficzny?*“
„*Wywód filozoficzności naszego języka.*“

Sam wydawca, w dołączonym przypisku, przyznaje się do niejasności wykładu, ale podaje jako przedmiot godny uwagi „chociaż dla wszystkich *odrazu* zrozumiałym nie będzie.“ I zaprawdę nikt rzeczywiście tych uczonych wywodów należycie pojąć nie mógł, chociaż chwalono ogólnie, a praca ta więcej rozgłosu u nas Kamińskiemu zrobiła, niż rzeczywiste zasługi, jakie położył na niwie odpowiedniej swemu talentowi. Jedna rzecz tylko się z niej utrzymała, to jest wyraz *Um*, w miejsce *rozum*. W rozprawie drugiej: „*Myśli o umnictwie dramatycznem*,“ Kamiński będąc panem przedmiotu i znając go gruntownie sam jako aktor, pisarz dramatyczny i długoletni dyrektor sceny polskiej, rozwija go należycie, i zdrowe rady podaje tak autorom piszącym dla teatru, jako też i dla aktorów grających.

Z poważniejszych prac nie możemy przepomnieć rozpraw: „*O poezyi i poetach.*“ „*Czy formy są iściwym warunkiem poezyi?*“ „*O samotności i jej wpływie na umysł i serce*,“ wszystkich pióra W. Chłędowskiego, który ostatnią ze swych prac poważnych: „*Młodzi poeci i mierność*,“ opatrzył takiem godłem:

„Niech ci, co muzy kołyszą,
Więcej myślą, a mniej piszą...
Niech nie tworzą pism bez liku,
Bez sensu, stylu i szyku:
Wprzód należy, dawnych torem,
Być studentem, niż autorem.“

Przy nich musimy wspomnieć o obszernym rozbiorze dzieła J. I. Sękowskiego, profesora zwyczajnego języków wschodnich w Ces. Uniwersytecie Petersburgskim, p. n. „*Collectanea z dziejopisów tureckich, rzeczy do historyi Polskiej służących.* Warszawa. Dwa tomy, 1824—1825 r., w którym ostro sam redaktor Haliczanina, lubo poważnie, karci zuchwałość Sękowskiego, za poniżanie swoich historyków, a wynoszenie tureckich dziejopisów, przez przyznanie im jedynie i wyłącznie przywileju prawdy.

Drugą i ostatnią z rozpraw krytycznych były: „*Uwagi nad przekładem pieśni gminnych Nowogreckich Aleksandra Chodźki.*“ Petersburg 1829 r., przez Józefa hr. Dunina Borkowskiego. Młody ten pisarz, pierwszy swój występ na arenę literacką rozpoczął tak gruntowną pracą, która mu też chlubny rozgłos dała.

Przechodzimy teraz do działu literatury pięknej, najbogaciej tu przedstawionej szczególniej też poezyi. Nie wszystko jest równej wartości, ale liczny poczet młodych talentów, dawał rękojmię pocieszającej przyszłości.

Nowa myśl *słowiańszczyzny*, którą poruszył tak żywo *Zoryan Dołęga Chodakowski*, poetyczną rozprawą swoją, a poparł ją uczonem dziełem J. B. Rakowiecki, przez wydanie *Prawdy Ruskiej*, nabrała większego jeszcze znaczenia, odkryciem przypadkowem przez Wacława Hankę, *Rękopismu Królodworskiego.* Ułomki z niego w powyżej wzmiankowanem dziele dał Rakowiecki; w *Haliczaninie* mamy przekład całego prawie zabytku tego, przez młodego Ludwika Nabielaka białym wierszem, ściśle do oryginału zastosowanym. Tłómacz we wstę-

---

wień teatralnych, jest ważną zasługą ogródków. W godzinach, kiedy się kończy dzienna praca w różnego rodzaju zakładach przemysłowych, fabrykach i warsztatach, zaczynają do ogródków napływać tłumy, spragnionych wypoczynku i rozrywki. Dawniej, ci sami ludzie, wolne od pracy chwile spędzali przy bilardach, w brudnych, zadymionych knajpach, których atmosfera, przesiąkła moralną zgnilizną, nietylko nie mogła zwrócić ich myśli ku światłu, ale przeciwnie pogrążała je w coraz większych ciemnościach. Dziś kontyngens zaludniający tego rodzaju zakłady o wiele się zmniejszył, a teatrzyki ogródkowe silnie się do tego przyczyniły. Nie chcemy jednak przez to powiedzieć, aby w zupełności zrozumiały — a przynajmniej spełniały zaszczytne swoje powołanie, gdyż daleko im jeszcze do tego. Ale.... Nad tem właśnie *ale* należy się obszerniej zastanowić, do czego jednak potrzebowalibyśmy więcej czasu i miejsca... Kończąc to wspomnie o tegorocznej działalności ogródków, musimy przyznać że panowie Texel i Trapszo obdarzyli publiczność niejedną sztuką nową i prawdziwie dobrą, że w przedstawieniach widoczną była staranność, ale że często także, może nawet rozmyślnie, grzeszono wyborem. Smutny ten objaw zauważyliśmy zwłaszcza w czasie Wystawy rolniczej, w ciągu której *Piękna Helena, Życie Paryskie, Mały Faust* i tym podobne *arcydzieła* najczęściej pojawiały się na afiszach. A przecież, panowie dyrektorowie dali nam dowody, że mogliby z czem innem popisać się przed przybyłymi na wystawę gośćmi.

W charakterze ludzkim istnieje wiele, często nieznanych, ale zawsze złe skutki sprowadzić mogących przywar i słabostek, tym gorszych, że wykorzenianie ich, pomimo iż posiadamy świadomość o ich szkodliwości, idzie zwykle opornie. Przywary te z tego właśnie powodu tak trudno nam usunąć, że są nieznaczne, że odnoszą się do pozornie błahych stron naszego życia, i mało na siebie zwracają uwagi, a przez to trwają ustawicznie.

Te spostrzeżenia na myśl nam się nasunęły, przy zwiedzaniu pawilonu przemysłowców warszawskich i zagranicznych na tegorocznej Wystawie rolniczej. W pawilonie tym jacyś cudzoziemcy, korzystając ze sposobności zaprodukowania swego towaru wielu zwiedzającym Wystawę, urządzili przedaż zabawek dziecinnych, a szczególniej bąków, o których trudno było przypuszczać, iżby mogły, zwłaszcza w tem miejscu i śród takiego otoczenia, zwrócić na siebie czyjąkolwiek uwagę. Tymczasem w rzeczywistości rachuby dowcipnych przemysłowców na łatwowierność i na kieszeń ludzką nie były płonnemi; mnóstwo ciekawych otaczało stół, na którym oni rozstawili całe szeregi owych drobnostek, gdy jednocześnie wy-

pie ważność takowego z zapałem przedstawił. Na czele oryginalnych poetów, stoi Aleksander hr. Fredro, genialny pisarz komedyi, na wartości których, powiedzmy otwarcie, ówczesna krytyka nie poznała się wcale, i lekce je ważyła. Wprawdzie komedye Fredry, *Śluby panieńskie*, *Zemsta i Jowialski*, należą do późniejszych jego, po roku 1830 utworów, atoli *Geldhab*, *Przyjaciele*, *Damy i huzary*, *Cudzoziemszczyzna*, *Zrzędność i przekora i Pierwsza lepsza*, były znane i grane na scenie teatru narodowego w Warszawie.

Fredro, w *Haliczaninie* wystąpił w podwójnej postaci, jako pisarz dramatyczny, i jako zwolennik romantyzmu. W pierwszej, daje nam cudnie piękny *obrazek dramatyczny* p. n. *Obrona Olsztyna:* jest to tylko jedna scena, przedstawiająca bohaterską obronę tego zamczyska przez *Kacpra Karlińskiego* za Zygmunta III, ale scena ta, to brylant *czystej wody*, w utworach tej gałęzi. Po Fredrze, już nikt nie powinien dotykać tego przedmiotu, bo dorównać niepotrafi. Szczęśliwa chwila natchnienia kierowała piórem Fredry, w której przeszedł niespodzianie z komizmu, do najwyższej tragiczności.—Wiersz rymowy, ośmio zgłoskowy, silny, jędrny w każdym słowie, godnie odpowiada poważnemu nastrojowi i treści dreszczem przenikającej. Uczucia ojca - obywatela, czującego święte obowiązki dla kraju, jak głos rozpaczy matki błagającej go za ostatniem ukochanem niemowlęciem, są z właściwem uczuciem szczerem i rzewnem oddane, a cały obrazek promienieje złotem słońcem poezyi.—Przepaść rozdziela utwór ten wzniosły, od powieści z podania gminnego Fredry: „*Kamień nad Liskiem*," w trzech częściach, w której przechodzi na pole wówczas modnego romantyzmu. Nie będziemy podawać treści tego fantastycznego utworu, powiemy w ogóle, że kierunek ten, nie odpowiadał talentowi poety, lubo i tu są ustępy dziwnej piękności.—

Aleksander hr. Dunin Borkowski, znany pod imieniem *Leszka*, wystąpił w Haliczaninie, z obszerną powieścią wierszem p. n. *Kozak*. Utwór ten dobrze zalecił późniejszego autora głośnej *Parafiańszczyzny*.

Mamy tu XIV *Dum podolskich* Tymona Zaborowskiego, których zbiór oddzielnie w drukarni puławskiej wydał Karol Sieńkiewicz, a obok nich i drobniejsze poezye. Był to talent niepospolity, rzeczywisty poeta, który łamał skrzydła swoje, jak orzeł w żelaznej klatce zrywający się do polotu ponad góry, ponad skały. Zrodzony w uroczej okolicy gór *Miodoborskich*, napisał rzewny wiersz „*do Liszkowiec*," w których piewszy dzień życia ujrzał.

„O! jakże mi dziś widok miejsc rodzinnych [miły,
Miejsc wesołych, co pierwszem gniazdem mo- [jem były:
Jak słodkiem przypomnieniem moje pieści oczy,
Swieżość tych smug zielonych, wzgórków i u- [boczy!
Jakże mnie łaknącego przypomnień nasyca
Ta niezmienna, jak moje serce, okolica!
Te wioski, ten Miodobór, smutny i wyniosły,
Te stawki, te gaiki, które ze mną rosły.
O rozkoszne widoki wesołych Liszkowiec,
Oby mój między wami zmieścił się grobowiec!„

Ziściły się gorące życzenia młodego poety, który trawiony smutkiem, samobójstwem zakończył pielgrzymkę swoję, i w rodzinnem miejscu, znalazł grób przedwczesny.

Nieznanego dotąd imięnia *Augustyn Bielowski* pierwszy raz w tem zbiorowem piśmie występuje, jako samodzielny poeta, i tłómacz pieśni serbskich, umiejący po mistrzowsku władać językiem ojczystym. Kierunek główny przyszłości swej literackiej już tu widzimy, że nakreślił w wierszu: „*Klechda* (¹) *na gruzach dawnej świątyni*,"

Świątynio! u twoich progów
Zatarte wznawiając ślady,
Gdzie były dziadów mych dziady,
Składam hołd winny, i wzywam mych Bo- [gów!
Głos mój na gruzie, wieków powleczonym ple- [śnią,
Rozbudza późnym wiekom nieznajome echa,
Dziedziny i plemiona starożytne Lecha
Zdziwiam od lat tysiąca niesłyszaną pieśnią."

(¹) Pogański śpiewak.

Wspomnieliśmy o dzielności poetycznego języka Bielowskiego, na poparcie naszego zdania, przytoczymy tu z XIV pieśni serbskich trzy w jego przekładzie:

1 Duka-Leka.

Do rana trwały biesiady i gwary,
Weselne wczasy przerwał giermek młody:
—„Hej! Duka-Leko! rozwijaj sztandary!"
Przeczytał kartę, skończyły się gody.
Wódz Duka-Leka przyprzęga strzemiona,
Trzymając konia wierna płacze żona:
—„Ach! Duka-Leko, ach mój Wojewodo!
„Tyż mi w dalekiej chcesz zniknąć wyprawie?
„Komuż, ach komu, zostawisz mnie młodą?„
—„Mojej i twojej matce cię zostawię."
—„Ach! Wojewodo! ach mój Duka-Leko!
„Cóż mi po matkach? kiedy ty daleko!
Wódz Duka-Leka przyprzęga strzemiona,
Trzymając konia wierna płacze żona:
—„Ach! Duka-Leko, ach mój Wojewodo!
„Tyż mi w dalekiej chcesz zniknąć wyprawie?
„Komuż, ach komuż zostawisz mnie młodą?„
—„Memu i twemu ojcu cię zostawię."—
—„Ach Wojewodo! ach mój Duka-Leko!
„Cóż mi po ojcach? kiedy ty daleko!"
Wódz Duka-Leka przyprzęga strzemiona,
Trzymając konia wierna płacze żona:
—„Ach Duka-Leko, ach mój Wojewodo!
„Tyż mi w dalekiej chcesz zniknąć wyprawie?
„Komuż, ach komuż zostawisz mnie młodą?"
— Moim i twoim braciom cię zostawię.
—„Ach Wojewodo, ach mój Duka-Leko!
„Cóż mi po braciach? kiedy ty daleko!"

2. Trzy Kukułki.

Jan altaną przechadzał się zrana,
Załamała pod nim się altana,
Złamał rękę, potłukł białe barki,
Udano się do sławnej lekarki,
Do mieszkanki borów, *Wili* młodej.
Lecz ta wielkiej żądała nagrody:
Prawej ręki żądała od matki,
A od siostry uplot włosów rzadki,
A od żony sznur pereł maleńki.
Matka, białej nie żałuje ręki,

---

stawa księgarska o kilkanaście zaledwie kroków odległa, prawie ciągle świeciła pustkami, jakby obfity zbiór specyalnych książek całkiem był obojętnym dla zwiedzających. Kołowanie takich bąków na talerzu, stole, wyprężonym sznurku lub pręcie drewnianym, zachęciło wielu do zakupywania tych zabawek. Mógłby kto sądzić, że głównymi widzami były tu dzieci, tymczasem przeciwnie, widzieliśmy przeważnie ludzi dorosłych i statecznych, którzy z widoczną ciekawością, przypatrywali się tym zabawkom. Spekulacya zapewne udała się dobrze, bo podczas kilkakrotnej bytności na Wystawie, zawsze koło tego stołu spostrzegaliśmy tłumy ciekawych, z których wielu nie żałowało wyrzucić kilku złotych na kupno niemających żadnej wartości przedmiotów.

Podobne rzeczy ciągle się u nas powtarzają, tracimy wiele czasu i pieniędzy na bezcelowe błahostki, oddajemy się łatwowiernie w ręce przebiegłych spekulantów, którzy byle umieli znaleść furtkę do naszej kieszeni, mogą być pewni, że dawszy nam w zamian byle jakie cacko, wezmą od nas grosz zapracowany w pocie czoła, który z daleko większym pożytkiem, moglibyśmy poświęcić na inne, szlachetniejsze i zarazem praktyczniejsze cele.

Z bezwarunkowem uznaniem witamy myśl założenia w Warszawie muzeum przemysłowo-rolniczego. Myśl ta, o ile się zdaje, dziś już przeszła w dziedzinę czynu, gdyż wielu wystawców pospieszyło z ofiarą wystawionych przez siebie okazów, składając je na ołtarzu publicznego dobra. Tym sposobem mamy już zawiązek i możemy się cieszyć nadzieją, że w przyszłości, rzecz ta, dla ogółu tak niewątpliwie pożyteczna szersze przybierze rozmiary i rozwinie się tak, jak na to pod każdym względem zasługuje. Myśl założenia u nas takiego muzeum jest zasługą warszawskiej prasy peryodycznej, która z rzadką solidarnością poparła tym razem, rzecz istotnie godną uznania i poparcia ze strony wszystkich ludzi dobrej woli.

Księgarnie warszawskie zaludniły się także cokolwiek w czasie wystawy. Napływ gości, w niektórych zwłaszcza godzinach, bardzo był znaczny, a wszyscy oni przychodzili nie z pustą kieszenią i nie z próżnemi wychodzili rękami. Objaw to bardzo pocieszający — a byłby nim jeszcze bardziej, gdyby jakość zakupywanych książek odpowiadała ich ilości. Zgadnijcie bowiem czytelnicy, jaki towar najwięcej miał powodzenia i pokupu? Powiem wprost, bo wątpię abyście odgadli: oto powieści i romanse i to przeważnie tłómaczone! Kupowano wprawdzie także dzieła Kraszewskiego, Korzeniowskiego i Kaczkowskiego, ale te jako wydawane drogą prenumeraty, mniejszy

A za matką daje włosy córka,
Lecz dać niechce żona pereł sznurka.
„Nie dam pereł, niech mnie Bóg ukarze!
Od ojca ję odebrałam w darze."
A więc w rany *Wila* rozgniewana,
Wlała jady — i otruła Jana.

Trzy *Kukułki* kukają nad strugą:
Jedna kuka dniem i nocą długą,
Druga w wieczór i z jutrzenką białą,
Trzecia kuka i rzadko i mało.
Ta, co kuka dzień w dzień, co godzina,
Jest to matka co straciła syna;
Ta co z wschodem i zachodem słońca,
Jest to siostra po bracie płacząca;
Ta co się kiedyś niekiedyś odzywa,
Jest to Jana żona czarnobrewa! —
(*d. c. n.*)

Kilka Słów
z powodu tegorocznej
WYSTAWY ROLNICZEJ
w Warszawie.

I.

Jedną z potężnych dźwigni postępu stały się w ostatnich kilku lat dziesiątkach, wystawy w ogóle, a w krajach przeważnie pewną gałąź przemysłu uprawiających, wystawy specyalnie tej gałęzi poświęcone, jak u nas przedewszystkiem rolnicze. Doniosłość, jaką posiadają dla krajowego rolnictwa i związanego z niem przemysłu, jest już dziś rzeczą tak stanowczo stwierdzoną, że dowodzić jej tutaj wcale nie myślimy. Postaramy się tylko, w kilku ogólnych wyrazach, wyliczyć najgłówniejsze dodatnie ich strony.

Pierwszą a może i najgłówniejszą z korzyści, jakie osiągamy z wystaw rolniczych jest zgromadzenie w danej chwili i miejscowości znacznej liczby ludzi, zajmujących się pracą około roli. Z takiego zgromadzenia się, przyjść koniecznie musi do bliższego zetknięcia, a stąd znowu do wzajemnej wymiany myśli; tym sposobem powstaje starcie zdań, bo każdy czyni swoje uwagi i spostrzeżenia, a ostatecznym wynikiem tego wszystkiego jest krytyka, już nie na jednostronnym poglądzie oparta, ale na faktach licznemi przykładami stwierdzonych w praktyce codziennego życia.

Zachęta, jakiej dla wystawców dostarczają wystawy jest niezmiernie ważnym bodźcem, działającym poniekąd na miłość własną rolników i przemysłowców. Jeżeli nie nadzieja pozyskania medalu lub pochwały przyznanej przez sędziów, to oczekiwane uznanie ze strony zwiedzających, możność popisania się ze swojemi okazami — staje się nieraz bardzo silną zachętą do wytrwałej pracy i ciągłego śledzenia za najświeższemi nabytkami nauki — co naturalnie, niemoże pozostać bez zbawiennego wpływu na podniesienie całego poziomu krajowego rolnictwa, we wszystkich jego działach i kierunkach.

Dalej, na wystawie, każdy, zarówno wystawca jak zwiedzający ma możność naocznego przekonania się o ulepszeniach i postępie najbliżej go obchodzących gałęzi rolnictwa. Każdy, przyglądając się temu, co jest ostatnim nabytkiem osiągniętym na polu wynalazku, uprawy, chodowli lub przemysłu rolnego, najlepiej jest w stanie ocenić o ile jego gospodarstwo zbliża się do najświeższych wymagań nauki lub praktyki i zbadać środki, przez których zastosowanie, może w najkrótszym czasie i przy wyłożeniu najmniejszego stosunkowo kapitału, dojść do rezultatów dla siebie najpomyślniejszych.

Wystawa stanowczo przekonywa nas o tem, jaki kierunek, ma w danej chwili, w gospodarstwie krajowem, przewagę nad innemi, jaki, postępowi rolnicy, uważają za najbardziej odpowiedni miejscowym potrzebom i stosunkom.

Dla nauki, wystawa ma znaczenie podwójne: raz, przez zebranie wszystkiego co stanowi ostatnią zdobycz na drodze postępu, ułatwia niesłychanie ludziom pracującym naukowo, możność porównania, a tem samem gruntowniejszego ocenienia rzeczywistej wartości, nowych wynalazków lub ulepszeń; powtóre, wystawa jest dzielną krzewicielką nauki, bo każdy, kto z uwagą przypatrywać się będzie wystawionym okazom, musi się już przez to samo czegoś nowego nauczyć i dowiedzieć. Przytem, nierzadko się zdarza, że ktoś zaciekawiony na wystawie widokiem jakiegoś przedmiotu, zapragnie bliżej go poznać i zbadać dokładniej i w tym celu żąda objaśnień od właściwych specyalistów, albo też szuka ich w odpowiednich dziełach i podręcznikach naukowych.

Wystawa ułatwia porozumienie pomiędzy posiadającym pewien przedmiot i chcącym go nabyć, wskazując temu ostatniemu, gdzie to, czego potrzebuje znaleść może w najlepszym gatunku i za cenę przystępną.

Oprócz korzyści, pokrótce wyżej wymienionych, wystawy przynoszą jeszcze wiele innych, których tutaj wyszczególniać nie będziemy, bądź z powodu specyalności, bądź też poprostu dla tego, iż brak nam miejsca i zamiaru na wyczerpującą w tym względzie rozprawę. Nadmienić nam tylko wypada, że pożytek z wystaw tym jest większy i tym widoczniejszy, jeżeli odbywają się one w danej miejscowości peryodycznie co lat kilka. Tym to bowiem sposobem ułatwiają one śledzenie za postępem krajowego rolnictwa i stają się niejako epokami w dziejach jego rozwoju.

II.

Tegoroczna warszawska wystawa rolnicza, według wydanego przez Komitet programu, składała się z sześciu głównych działów, z których każdy dzielił się na odpowiednie oddziały i sekcye. Program ten, w głównym swoim zarysie, był następujący.

Dział 1. *Płody rolne, ogrodowe, warzywne i leśne.*

1. Płody rolne:

A) Zboże i rośliny strączkowe. *B)* Kartofle. *C)* Rośliny używane do produkcyi fabrycznych. *D)* Rośliny pastewne. *E)* Kolekcya nowych, dotąd w kraju nieznanych zbóż, kartofli, roślin przemysłowych lub pastewnych.

2. Płody ogrodnictwa warzywnego i owocowego.

A) Płody ogrodnictwa warzywnego. *B)* Płody

---

znajdowały pokup. Rozeszło się także dosyć książek, należących do nowszej belletrystyki francuskiej, tej belletryśtyki bez wyraźnego rodzaju literackiego, której całą wartość stanowi najczęściej, żywo prowadzony dyalog i trocha, niezawsze szczerego, humoru. Pomyślisz zapewne, czytelniku, że obok tych dzieł lekkiej treści, goście nasi zaopatrywali również swoje biblioteki w książki specyalnie bądź rolnictwu, bądź chodowli domowego inwentarza, bądź wreszcie innym gałęziom wiedzy gospodarczej poświęcone. Gdzie tam! nie pytano się nawet o nie, a liczba przedanych była tak małą, że się zachód poniesiony około ich skompletowania nie opłacił. Fakt ten, który tutaj zaznaczamy, a który zdaniem naszem nie małą ma doniosłość — tembardziej jest zdumiewającym, że gospodarze i rolnicy nasi, okazali znaczne zainteresowanie się postępami krajowego rolnictwa, wypowiadając przy zwiedzaniu wystawy światłe zdania i krytyczne uwagi, a nawet nabywając znaczną ilość wystawionych machin i narzędzi rolniczych. Z tego faktu sądzićby można, że książki i pisma poświęcone rolnictwu nie powinny być dla nich obojętnemi, — widocznie jednak w praktyce inaczej się rzeczy mają.

Pora zabaw i koncertów wcześniej się w tym roku rozpoczęła niż zwykle. Trzy pierwsze koncerty: na dochód szpitala dla dzieci, dla rodziny pozostałej po nieodżałowanej pamięci mistrzu naszym Stanisławie Moniuszce, i pana Gustawa Friemana, nietylko nie cieszyły się świetnem powodzeniem, ale nawet nie wszystkie pokryły poniesione koszta. Liczono tu widocznie na wystawę, a właśnie taż sama wystawa przyczyniła się do niepowodzenia koncertów, absorbując sama wyłącznie całą uwagę i całe zajęcie przybyłych do nas gości i stałych mieszkańców Warszawy. Prześliczna pogoda i rzadkie u nas w końcu września ciepła, sprzyjały więcej rozrywkom i zabawom, odbywającym się na świeżem powietrzu. To też ogród Saski w czasie loteryi fantowej, aż przez dwa dni tamże odbywanej, prawdziwie roił się publicznością, tembardziej, że wejście na tę zabawę było tym razem bezpłatne. Czy komitet zajmujący się urządzeniem loteryi, osiągnął z tej próby pożądany rezultat — nie wiemy, to jednak pewna, że zabawa miała charakter całkiem od zwykłego odmienny. Panom Texlowi i Trapszy nie brakło także chętnych widzów i słuchaczów. Dziś kiedy wystawa jest już tylko wspomnieniem, wytrąceni ze zwykłej życia kolei, powracamy do codziennego trybu naszych zatrudnień i zabaw, a wrażeniami, jakich nam one dostarczą, podzielimy się z tobą chętnie, łaskawy czytelniku.

---

ogrodnictwa owocowego. *a)* Drzewka owocowe. *b)* Owoce.

3. Płody leśne i torfy.

Dział II. *Inwentarz żywy.*

A) Konie *B)* Bydło rogate. *C)* Owce. *D)* Nierogacizna. *E)* Psy. *F)* Drób. *G)* Ryby i rybołówstwo. *H)* Pijawki i pijawczarstwo. *I)* Pszczoły i pszczolnictwo. *K)* Jedwabniki, środki ich utrzymania i jedwabnictwo.

Dział III. *Płody przemysłu rolnego i leśnego.*

A) Wyroby przemysłu rolnego. *B)* Płody przemysłu leśnego. *C)* Wyroby włościańskie.

Dział IV. *Machiny i narzędzia rolnicze.*

A) Narzędzia do uprawy łąk i roli. *B)* Narzędzia do pielęgnowania roślin podczas wzrostu. *C)* Narzędzia do siewu. *D)* Narzędzia do zbioru. *E)* Narzędzia do omłotu i czyszczenia zboża. *F)* Narzędzia do transportu. *G)* Machiny i narzędzia do przeróbki surowych produktów i materyałów. *H)* Motory. *I)* Przyrządy hydrauliczne. *K)* Narzędzia ręczne i porządki gospodarskie. *L)* Narzędzia i przyrządy fizyczne.

Dział V. *Plany i modele budowli wiejskich oraz materyały budowlane niepalne.*

Dział VI. *Wzorowe gospodarstwa i rachunkowość gospodarcza.*

Obok tego, w każdym prawie z sześciu powyższych działów znajdowała się znaczna liczba przedmiotów extra konkursów.

Z tego treściwego wyliczenia, można już wyrobić sobie ogólne przynajmniej wyobrażenie o zakresie i rozmiarach świeżo odbytej wystawy. Ani treść naszego pisma, ani szczupłe jego łamy nie pozwalają nam wdawać się w szczegółowe sprawozdanie o każdym z osobna z odbytych konkursów. Wyręczyły nas już w tym względzie pisma codzienne, a obszerniej i bardziej wyczerpująco przedmiot ten rozwiną pisma poświęcone specyalnie bądź rolnictwu, bądź przemysłowi, bądź też ekonomice. Pobieżne i dorywcze traktowanie *o wszystkiem* nie doprowadziłoby nas *do niczego*, i dlatego właśnie wolimy w kilku tylko słowach streścić ogólne nasze wrażenia, wyniesione z wystawy. Na zakończenie zaś tego artykułu, który raczej za zaznaczenie spełnionego już faktu, aniżeli za dokładne o nim sprawozdanie uważać należy, podamy czytelnikom naszym kilka luźnych uwag i spostrzeżeń, które może nie będą bez pewnego wpływu i znaczenia i zdołają, choćby na innem miejscu, wywołać obszerniejszą dyskusyą, budząc spodziewany odgłos, tam gdzie go znaleść powinny. (*d. c. n.*)

PRZEZNACZENIA.

Sceny z życia amerykańskiego,

przez

Fryderyka Gersteker'a.

(Przekład z niemieckiego.)

I. Kaprysy dziewczęce.

W jednym z najbardziej eleganckich domów uprzywilejowanej dzielnicy Nowego-Jorku, w której usadowiła się arystokracya tego bogatego handlowego miasta, by módz współzawodniczyć wzajem pod względem przepychu i okazałości, na otwartym balkonie, w prawdziwej altanie z wysokich, szerokolistnych doniczkowych kwiatów siedziała Jenny Wood, najpiękniejsza i najbogatsza panna w całem mieście. Tuż za nią, tak jednak, że z ulicy nie mógł być dostrzeżónym, stał oparty o poręcz krzesła, przebierając palcami po ciemnobląd lokach dziewczęcia, Jerzy Halay, szczęśliwy jej narzeczony.

Szeptał jej do ucha, jak jest szczęśliwy, będąc tak bliskim celu pragnień swoich — bo za dwa dni już miał się odbyć ślub ich — i przytem gorący pocałunek wycisnął na jej śnieżnem, zwróconem ku sobie, ramieniu. Jenny zaś, będąca dzieckiem trochę rozpieszczonem, a obok tego nieco zanadto świadoma swych wdzięków, rzekła wzruszając ramionami i napół przechylając głowę:

— Przestań, Jerzy, bądź rozsądny i zachowaj się przyzwoicie. Co sobie o nas pomyślą ludzie, którzy, być może, zprzeciwka na nas patrzą?

— Ależ, skarbie mój, co nas ludzie obchodzą! — zaśmiał się Jerzy.— A czyż sądzisz, żeby mnie za to ktoś zganił, nie będąc zazdrosnym z głębi serca? doprawdy, że nie.

— Ale, Jerzy — zawołała Jenny nawpół obrażona, a lekki rumieniec zwolna pokrywał jej skronie i czoło — wstydź się mówić coś podobnego; wszak wiesz, że ja tego nieznoszę. Chcesz mnie znów rozgniewać.

—Jaka ty dziś jesteś, Jenny! rzekł Jerzy, jeżelimcię zmartwił czemś, to chyba jedynie miłością moją dla ciebie, zresztą, nie poczuwam się do niczego.

— I miłość może się sprzykrzyć — rzekła młoda lady, zakładając ręce i jak dziecko swawolne poruszając koralowemi swemi ustami, niby do pocałunku stworzonemi. Zachciało jej się dąsać trochę, w tej chwili zaś gniewała się może dlatego jedynie, iż nie miała prawdziwego do gniewu powodu.

— Jenny—odezwał się Jerzy z wyrzutem, to były słowa bardzo przykre, a dałbym dużo za to, gdybyś ich była nie wyrzekła. Chodź— dodał pochwili z przymileniem—nie bądź dzieckiem, niewiedziałem przecież, że ci to taką sprawi nieprzyjemność.

— Żeby mnie całować otwarcie na ulicy?— i dlatego mam być dzieckiem? — zawołało dziewczę znów nawpół się odwracając, nie patrząc jednak na Jerzego.—Mr. Halay, stajesz się pan coraz grzeczniejszym.

— Ależ, serce moje, otwarcie na ulicy? tak mnie gałęzie zasłaniają, że żaden Indyanin nawet nie odkryłby mnie tutaj... Bądź dobrą, Jenny, chodź do pokoju, byśmy mogli obchodzić przeprosiny nasze, jeżeliś, mój skarbie, rzeczywiście choćby przez chwilę gniewała się na mnie. Bądź dobrą, Jenny.

— Jenny istotnie z całego serca była dobrą, ale zarazem tak nawskroś rozpieszczoną i zepsutą pochlebstwami, że sprawiało jej to największą przyjemność, kiedy ją narzeczony prosił o przebaczenie, wówczas kiedy nic nie zawinił. Kochała Jerzego namiętnie, że wyjdzie za niego—to było więcej, jak pewnem. Boże kochany, wszak już nawet przygotowania do ich uczty weselnej były poczynione, a byłaby w rozpaczy, gdyby pomyślała tylko, że może go stracić—ale trochę go podręczyć, to zaszkodzić wcale nie mogło, *on* musiał pojąć zawczasu, że w przyszłości *ona* chce być panią w domu, a im wcześniej oswoi się z tą myślą, mówiła sobie, tem lepiej.

Zamiast usłuchać go, wysunęła sobie krzesło jeszcze trochę dalej na balkon, gdzie nie wolno mu było zbliżyć się do niej, jeśli nie chciał obrazić jej nanowo, a wszystkie jego prośby i przymilenia nic nie pomogły. Aż wreszcie, sam rozdrażniony porwał się z krzesła i z gniewem zaledzie ukrytym zawołał:

— Mis Jenny, zdajesz się pani wyjątkowo dziś być w złym humorze i sądzę, że lepiej będzie przez wieczór dzisiejszy zostawić panią własnym jej myślom — Good evening, my lady.....

Zatrzymał się, czekając odpowiedzi; Jenny wszakże została nieporuszoną — nieprzypuszczała żeby odszedł. — Jerzy zaś schwycił rzeczywiście za kapelusz, który stał na stole, pomimo to jednak czekał odpowiedzi — ale napróżno.

— Jenny, zaczął znów po chwili, czy mam odejść? czy w istocie sprzykrzyła ci się czułość moja?

Ani słowa odpowiedzi — mała kapryśnica zgrabną nóżką wybijała takt do jakiegoś tańca fantastycznego, nucąc przytem jakąś melodyą zaimprowizowaną naraz. Gdyby Jerzy mógł w tej chwili zobaczyć wyraz jej twarzy, byłby dostrzegł, że na jej ustach igrał lekki uśmiech zadowolnienia.—Rozgniewała swego narzeczonego, wszak to właśnie było głównym jej celem; z następnego aktu pojednania ona-by wyszła zwycięsko, a Jerzy..... ale czy naprawdę odszedł?

— Good by, Jenny, rzekł Jerzy, wprawdzie życzliwie jeszcze, ale zupełnie stanowczo.

Zwlekała przez chwilę z odpowiedzią; ale teraz właśnie nie wolno się jej było zapomnieć, chybaby chciała pozbawić się lekkomyślnie już odniesionego zwycięztwa.

— Good by, Sir, rzekła sucho, nieodwróciwszy się, a potem słuchała, czy rzeczywiście będzie miał serce tak ją opuścić — jednakże o tem wcale nawet pomyśleć nie mogła—inaczej, chybaby jej nie kochał.

Drzwi się otworzyły i zamknęły — potem znów wszystko było cicho.

Filut, pewnie to zrobił umyślnie, żeby się odwróciła i zawołała go, ale bardzo się omylił. Kosztowało ją to wprawdzie trochę, musiała się przezwyciężyć bo najchętniej byłaby przechyliła głowę, żeby zobaczyć, gdzie się ukrył, ale jakżeby się potem był śmiał z niej i żartował. Nie!—chciała, iżby sam powrócił; nie życzyła sobie pierwsza podać ręki do zgody —ale nie wracał.

Słuchała— ale nic słychać nie było. Tupiąc zgrabną nóżką, zanuciła piosenkę, którą atoli niebawem przerwała, skoro sobie jasną zdała sprawę z jej melodyi i słów do niej zastosowanych. Dopóki mogła być słyszaną przez niego nie powinna była śpiewać tej piosenki, zaczynającej się od wyrazów: „Where is my lover? can any one tell" [1]) łatwoby bowiem mógł wnosić stąd, że pragnie jego powrotu, a na samą tę myśl wyraz pełen złośliwości, wyraz wcale nie ładny zadrgał na jej ustach — zdając się mówić: „nie potrzebuję tylko ręki wyciągnąć, by na każdym palcu mieć pięć pierścieni, zwiastujących tyleż świetnych partyi— i ja miałabym dla Jerzego Halay choćby tylko odwrócić głowę?—Nigdy."

A jednak jego jednego ukochała z pośród wszystkich, którzy razem z nim starali się o jej rękę; była nawet dumną z posiadania go, gdyż Jerzy, należąc do jednej z rodzin najbogatszych i najbardziej poważanych w mieście, był zarazem jednym z najprzystojniejszych i najdzolniejszych młodych ludzi w Nowym-Jorku i w każdym domu mile były widziany. Uważała przeto za niemały dla siebie tryumf, że to on właśnie był jej narzeczonym, i że go w tej chwili mogła trochę podręczyć. Wszak już za dni kilka mieli być mężem i żoną — a miała niestety! sposobność przekonać się na innych kobietach zamężnych, że władza, jaką wywiera narzeczona nad narzeczonym całkiem jest różną od tej, jaką posiada kobieta nad mężczyzną, kiedy para raz połączona węzłem małżeńskim, rozłączyć się już nie może.

[1]) „Gdzie jest mój luby?— kto powie mi."

Ale Jerzy naprawdę nie przychodził. Czekała około dziesięciu minut — czekała kwadrans; w końcu nie mogła dłużej znieść niepewności i zwolna wstając ze swego krzesła, jak gdyby była zmęczona długiem siedzeniem w tem miejscu — odwróciła się i weszła do pokoju. Lecz wszedłszy, z prawdziwem zdumieniem wodziła wzrokiem wokoło, bo Jerzego nie spostrzegła nigdzie — odszedł, bez pożegnania się z nią! — Rzecz niesłychana—i to na dwa dni przed ślubem — nie byłaż najnieszczęśliwszą, najboleśniej zawiedzoną istotą na świecie?

W samej rzeczy w jej oczach ukazało się kilka kropel przejrzystych. Prędko je wszakże otarła, usłyszawszy otwierające się dzwi od przedpokoju. Toć on wracał, a za nic w świecie nie chciałaby, żeby się dowiedział, jak ciężko ją odejście jego zabolało. Tymczasem nie przychodził, — byłto głos obcy — pewnie list przyniesiono lub przyszedł ktoś ze służby. — Wyszła znów na balkon i patrzyła się wzdłuż ulicy — Jerzego nie zobaczyła nigdzie. Czy naprawdę mógł się rozgniewać na nią? czyż go zmartwiła? a może on ją? On ją? czemże właściwie? Może istotnie posunęła się zadaleko; ależ, miły Boże, jeżeli już jako narzeczony nie miał tyle względności dla niej, czegóż mogła się spodziewać po małżonku? — To było szkaradnie z jego strony i teraz dąsała się rzeczywiście. I to jednak na nic się nie zdało; i dąsy powrócić go nie zdołały. Gdy zaś wieczór coraz był późniejszy, a Jerzego nie było, udała się do swego pokoju i serdecznie się wypłakawszy ze zmartwienia i niechęci, postanowiła sobie przez cały następny dzień pozostać w łóżku pod pozorem choroby, i nie przyjąć go wcale. Chciała też raz przekonać się, kto pierwszy przeprosi — ale nie przychodził.

Minął wieczór — minął cały dzień następny, a Jerzego nie było widać — i to w przeddzień ślubu, co było rzeczą niesłychaną. W końcu przyszło jej na myśl, czy czasem nie zachorował. Czyż jednak miała posłać do niego?

Jerzy Halay od ośmiu już dni zajmował ślicznie urządzone, przyszłe ich mieszkanie. Z tego powodu często przez dnie całe nie odwiedzał swych rodziców. Porządkowanie bowiem i urządzanie dużo mu zabierało czasu, tymbardziej, że coraz to nowe dokupywał przedmioty, któremi sądził, że ucieszy się jego Jenny. Całe mieszkanie było strojne i wygodne, a buduar dla Jenny był prawdziwie królewski.

Wreszcie i ojciec Jenny począł się niepokoić. Co się to stać mogło, że w przeddzień wesela narzeczony nie pojawił się ani u nich, ani u narzeczonej, tem więcej, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni regularnie przychodził do nich na obiad. Mr. Wood przeto posłał do niedalekiego mieszkania Jerzego, ze zdziwieniem wszakże dowiedział się, że służący sami nie wiedzą, gdzie podział się ich pan, gdyż nie wrócił na noc do domu i prawdopobnie został u swoich rodziców.

Mówili także, iż poprzedniego wieczora przysłał jakąś paczkę, którą nieotworzoną, zanieśli do jego pokoju.

Otrzymawszy takie wiadomości, Mr. Wood sam udał się do ojca Halaya, pytając jednak o syna, zaniepokoił tem w najwyższym stopniu całą rodzinę, która dotychczasową nieobecność Jerzego tłómaczyła sobie tem, że teraz wszystek swój czas wolny od zajęć spędza u przyszłych teściów.

Mr. Halay posłał natychmiast do klubu dowiedzieć się, czy tam syn jego nie był wczoraj wieczorem—klub bowiem był jedynem miejscem, jakie odwiedzał Jerzy, kiedy szukał zabawy poza domem. — Tam wszakże powiedziano, że już nie był przeszło dni czternaście a więc nie był i wczoraj wieczorem—czyżby mu się zatem zdarzyło jakie nieszczęście?

Jenny drżąc cała słuchała tego opowiadania ojca — musiało zajść coś okropnego, inaczej Jerzy nie opuściłby jej w ten sposób, z powodu takiej drobnostki, z powodu jednego lekkomyślnie rzuconego słowa. Zupełnie zapomniała, że chciała udawać chorą, a przez dzień cały, gdy skrzypnęły podwoje, zrywała sie konwulsyjnie i słuchała, czy jej nie dojdzie odgłos jego kroków — on jednak nie przychodził.

Minął dzień cały, minął następny — minął wreszcie dzień, na który ślub był naznaczony— narzeczony się nie zjawiał a Jenny, blada i złamana, jak widmo, snuła się po pokojach. Ojciec jej, jakkolwiek nie pojmował także tego zagadkowego zniknięcia — nie tracił przecież nadziei, gdyż zaraz nazajutrz, przy pomocy swoich przyjaciół, poczynił zapytania, na wszystkich posterunkach policyjnych. Wprawdzie nie udało im się nigdzie wykryć śladu zaginionego młodzieńca, ale tym sposobem upewnili się przynajmniej—chociaż słaba to była pociecha — że nie posiadano żadnej stanowczej wiadomości o jakimkolwiek wydarzonym w mieście nieszczęśliwym wypadku.

Co się jednak z nim stało i dla czego przysłał do domu swoje ubranie?

Przeszukano bowiem przysłaną przez Jerzego paczkę i znaleziono w niej nietylko cały jego ubiór, ale i złotą dewizkę od zegarka i spinki brylantowe i książkę do notatek. Zrabowanym przeto być nie mógł, gdyż brakowało tylko zegarka, a przypuszczano jedynie, czem także pocieszano Jenny, że kupił sobie inny ubiór, aby może..... nad tem właśnie rozmyślano napróżno, bo to w każdym razie pozostało niepojętem.

Jakiego rozgłosu cała ta historya nabrała w mieście, łatwo sobie wyobrazić, obie bowiem rodziny należały do najbardziej poważanych w stolicy. Wiedziano także, że stary Halay miał zamiar w dzień ślubu swego syna rozwinąć cały przepych i bogactwo swego domu.

Wtem nagle znikł narzeczony — a złe języki, rade ze sposobności do rozlania swego jadu, nie omieszkały, w miarę sił, skorzystać z tego wypadku. Wszystko jednak, cokolwiek rozpowiedzieć mogły, mogło jedynie i wyłącznie pozostać przypuszczeniem, gdyż nigdzie nie było punktu oparcia do najmniejszej pewności, do najlżejszego nawet dowodu. To tylko utrzymywano z pewnością, — czemu zresztą wielu wierzyło — że młodemu, pełnemu życia Jerzemu Halay żal było już tak wcześnie zrobić ze siebie ofiarę dla panny, wprawdzie pięknej i bogatej, lecz zresztą rozpieszczonej i nieco zalotnej, związku zaś tego, stanowczo już ułożonego, mógł ujść jedynie, ratując się ucieczką — Pieniędzy dosyć miał w ręku, kraj cały— cały świat stał mu otworem, a sposobność do ucieczki?.. Boże kochany, w Nowym-Jorku nie było godziny, w którejby za pomocą parowców lub kolei żelaznych nie mógł dostać się do odległej jakiejś krainy, a któż wie, w jaką stronę się zwrócił? — To był wyrok naprędce w mieście wydany, chociaż dla matki nie był on wystarczający, a i ojca ciężka dręczyła troska.

Jednak nieprawdopodobnem było, ażeby Jerzy pragnął uniknąć połączenia ze swą narzeczoną. Nigdy najmniejszem słówkiem nie dał się słyszeć z tem, ażeby przy jej boku nie spodziewał się być szczęśliwym — a że wogóle był otwartym i prawym, pewnie, gdyby tak myślał nie byłby tego mógł ukryć przed rodzicami swojemi. Nic więc innego przypuścić nie mogli, jak tylko, że owego wieczora w sposób jakiś tajemniczy znalazł śmierć w mieście. Może wypadł z jednego z licznych statków które co chwila odchodzą od Brooklyn, Hoboken i innych miejscowości—na żadnym ze statków atoli nie wiedziano nic o tem.

Cała policja napróżno była w ruchu, nie wyśledziła nic, gdy zaś mijał dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, a o zaginionym wieści nie było, poczęto go opłakiwać, jak zmarłego.

A Jenny? — Któż powie, co się dzieje w sercu młodej, przez świat cały rozpieszczonej dziewicy, gdy nagle ciężko i boleśnie widzi się dotkniętą w miłości i poczuciu swej dumy? — To, czem jeszcze na ostatek, lubo słabo, pocieszali się rodzice Jerzego, mianowicie, że może, chociaż z niewiadomych powodów, udał się w głąb kraju—to było dla Jenny myślą najokropniejszą i najnieznośniejszą. Śmierć tylko mogła usprawiedliwić występek, jakiego się względem niej dopuścił narzeczony. Musiał nie żyć, lub — zasługiwał, żeby go życia pozbawić, któreż bowiem dziewczę na świecie, ciężej było zmartwione i boleśniej obrażone niż ona, w skutek zniknięcia narzeczonego w dzień ślubu?

Ale co się w rzeczy samej, stało z Jerzym?

II. Gawęda wieczorna.

Jenny więcej zmartwiła Jerzego, aniżeli sama przypuszczała lub chciała.

Już to samo, że wyszła na balkon było wbrew jego życzeniu — nawet wbrew wyraźnej jego prośbie. Pragnął on owych krótkich chwil, jakie mu jeszcze do ślubu pozostały, używać w całej pełni, pragnął śród upojenia dojść do świadomości, że ona teraz należy do niego, do niego na wieki.

Ona zaś pod wpływem nieszczęsnej chęci drażnienia go uważała to za niestosowne, szło jej też bardzo oto, jak mówiła, żeby mogła widzieć młodych panów z wielkiego świata, którzy zazwyczaj o tej porze dnia przejeżdżali tamtędy konno lub w powozach; a wszakże z Jerzym rozmawiać mogli na balkonie, tak sa mo, jakw pokoju.

To już nie podobało się Jerzemu; przybyła jeszcze scena, której byliśmy świadkami w pierwszym rozdziale. Wiedział wprawdzie dobrze, jak bardzo rozpieszczoną była Jenny i jak dotychczas ze wszech stron starano się jej dogadzać; on sam nieraz znosił jej kaprysy, jednakże uważał je zawsze za małe, niewinne zachcenia, które same przez się znikną w miarę ich wzajemnego zbliżania się do siebie. Obecnie zbliżenie się to nastąpiło, przysięgła należeć do niego — już za kilka dni nierozerwalny węzeł małżeństwa miał ich złączyć oboje— a pomimo to nie porzucała swych kaprysów, owszem zdawało się, że im są bliżej celu, tym silniej do nich się przywiązuje. Byłoż to słusznem z jej strony?

Kiedy wstał z krzesła miał nadzieję, że go wstrzyma, choćby tylko jednem spojrzeniem. Inaczej się stało. Poszedł do drzwi, nie poruszała się, nawet nie drgnęła. Tam stanął na chwilę i czekał na nią... napróżno... Jenny nie przypuszczała wcale, żeby miał odejść, a z drugiej strony nie chciała go zatrzymywać, aby sobie nie mieć nic do wyrzucenia.

Wtedy to wyszedł z pokoju, poraz pierwszy w życiu zasmucony przez swą narzeczoną. W milczeniu zeszedł ze schodów na ulicę i kroczył w takiem zamyśleniu, iż sam nie wiedział dokąd idzie.

Przebiegł tak ze dwie albo trzy ulice, a choć go serce ciągnęło napowrót do narzeczonej, jednocześnie duma pędziła go naprzód. W tem nagle usłyszał wołanie:

(d. c. n.)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

ŚWIĘTOSZEK,

Komedya w 5 aktach Moliera, przekład wierszem Klemensa Podwysockiego. (Przedstawiona na scenie Teatru Letniego, dnia 27 września r. b.)

Uważamy to za pomyślną dla siebie wróżbę, że szereg naszych przeglądów teatralnych rozpocząć możemy od sprawozdania z takiego arcydzieła dramatycznej literatury europejskiej, jakiem jest, bez zaprzeczenia, Molierowski *Świętoszek*.

Upłynęło z górą lat dwieście od pierwszego przedstawienia tej sztuki, a jednak nietylko wartości swojej nie straciła, ale przeciwnie, dzięki przymiotom właściwym jedynie dziełom prawdziwego geniuszu, pozbywszy się swojego znaczenia związanego z czasem i miejscowością, dziś podobnie jak przed dwoma wiekami, świeci własnym, niepożyczanym blaskiem wewnętrznych i zewnętrznych swoich przymiotów.

Odludek (r. 1666), Świętoszek (1667), Skąpiec (1668), trzy arcydzieła Moliera, rozwijają się według tychże samych zasad, jakich Rasyn trzymał się w tragedyi. Obadwaj ci poeci uchwyciwszy jeden jakiś przymiot, jednę dodatnią lub ujemną stronę charakteru człowieka, górującą ponad innemi, rozwijali ją następnie w akcyi scenicznej, wprowadzając ją w walkę a niejednokrotnie przeciwstając na drugim biegunie stojącym przymiotom. Ten sposób prowadzenia sztuki, różny zupełnie od tego, jakiego się trzymali Kalderon lub Szekspir, zgadzał się zupełnie z duchem siedemnastego stulecia i całkiem odpowiadał warunkom wymaganym przez komedyą charakterów. A taka właśnie komedya, oparta na głębokiem badaniu ducha ludzkiego w ogóle, a wad i ułomności człowieka w szczególności, skupiła w sobie główną działalność Moliera; w tym rodzaju był on mistrzem, na tem polu położył najznakomitsze zasługi i zjednał sobie nieśmiertelną sławę.

Molier nie był poetą swojej tylko epoki, ale był i jest poetą ludzkości. On pierwszy, nietylko spostrzegał i chłostał śmieszności tam gdzie jego współcześni upatrywali rzeczy całkiem poważne i godne poszanowania, ale nadto umiał wcielić daną wadę lub występek w postać żywą, drgającą niezatartą prawdą. Umiał on zebrać i skupić wszelkie objawy pewnej namiętności nie przekraczając granic kreślonego przez siebie charakteru, i nie zacierając cech osobistych jemu tylko właściwych. Osoby w jego sztukach działające noszą na sobie piętno takiej odrębności, iż z największą łatwością można je poznać i odróżnić od mnóstwa innych; gdy na nie patrzymy, zdaje nam się, że pośród nas żyją, że się z niemi co chwila spotykamy — a pomimo to nie są one odzwierciadleniem pewnej tylko epoki, gdyż każdy wiek i każde nowe pokolenie odnajdują w nich swoje skłonności i wady. Każda z postaci Moliera, posiadając to wszystko co tylko znaleść można w jednostce, jest zarazem prototypem wiecznie prawdziwym. Dzieje się to tym sposobem, że Molier nie kopiuje lecz tworzy, trzymając się przytem praw przez naturę wskazanych; kiedy przedstawia życie, to obrazy te nie są prostem tylko malowidłem ale są, przedewszystkiem, poezyą.

Pomimo tych wszystkich zalet, pomimo tej treści zawsze głębokiej i ogólnie ludzkiej, a może właśnie z powodu tej treści, będącej raczej kwintensencyą aniżeli fotografią życia i natury ludzkiej, Molier nie znalazł na scenie naszej należnego mu uznania. Dwie jego sztuki: Skąpiec, przedstawiony parę lat temu i Sganarelle, który przed kilkoma dopiero tygodniami ukazał się na deskach naszej sceny, nie potrafiły publiczności warszawskiej zająć i rozciekawić do tego stopnia, jak to jest przywilejem zręcznych, drobiazgowo wykończonyah i żywcem przenoszących różnorodne stosunki ludzkie na teatralne deski utworów, a często nawet i robót scenicznych nowszych komedyo-pisarzy.

Publiczność, nie posiadająca szerzej rozwiniętego estetycznego smaku, ani głębiej wyrobionego krytycznego zmysłu, nie zagustowała jeszcze w tych perłach prawdziwego geniuszu, pełnych zawsze szczerego, zdrowego, młodzieńczego humoru, których sceniczne przedstawienie jest rzeczywistą ucztą duchową dla widzów więcej estetycznie wykształconych. Czy i Świętoszka spotka los Skąpca i Sganarelle'a? czy i on po kilku przedstawieniach będzie miał prawo uskarżać się na obojętność naszej publiczności? tego dziś jeszcze przesądzać nie podobna, biorąc jednak miarę z pierwszych reprezentacyi tej sztuki, zdaje się, iż można jej wróżyć długie i świetne powodzenie. Publiczność zapełniająca od dołu do góry salę letniego teatru, bawiła się wybornie a i zaciekawienie jej rosło z każdą chwilą z postępem scenicznej akcyi. (*d. n.*)

ROZMAITOŚCI.

Przepełnienie w szkołach. Gazeta „Odeskij Wiestnik” donosi, że liczba kandydatów pragnących się zapisać do szkół rządowych w Odessie jest w tym roku tak znaczną, iż nietylko w istniejących już zakładach naukowych pomieścić się nie może, ale nawet trzecie progimnazyum, jakie tam świeżo otworzono jeszcze nie da możności kształcenia się tym wszystkim, którzy nauki w szkołach rządowych pobierać pragną. Przeważną i nieproporcyonalnie do innych lat znaczną liczbę kandydatów, stanowi młodzież izraelska, w skutek czego wyżej rzeczona gazeta, fakt niezwykłego garnięcia się tej młodzieży do nauk, objaśnia tem, że izraelici dlatego pragną dzieci swoje wychowywać w szkołach rządowych, aby tym sposobem, wobec nowego prawa o służbie wojskowej, dać im możność jak najkrótszego pozostawania w armii czynnej.

Skąd się wzięła loterya? Któż z nas nie grał choćby raz w życiu w loteryą? ktonie próbował szczęścia w tem kole fortuny? kto nie stawiał zamków na lodzie, rozporządzając naprzód przyszłą wygraną? kto się nie łudził nadzieją? kto nareszcie nie narzekał na zawód, kto się nie skarżył na zawistne losy? A jednak jeżeli ktoś narzeka, czyni to niesłusznie. Przez pięć klas albo właściwiej mówiąc przez 6 miesięcy człowiek może mieć nadzieję— a i to już wiele, bo dziś i o nadzieję trudno! Złudzenie zastępuje nam rzeczywistość; nic więc dziwnego, że się za to złudzenie, które nam sprawia przyjemność, drogo nieraz płaci.

Dzisiejsza loterya klasyczna wytworzyła się z loteryi liczbowej. Skąd się zaś wzięła ta ostatnia niedawno opowiedział Włochom profesor *Ponsiglioni* w wykładzie swoim mianym w sali uniwersyteckiej w Sienie, którego treść jest następująca:

Co do początku gry w loteryą to nie ulega żadnej wątpliwości, że jest ona włoskiego pochodzenia; pisarze nie zgadzają się tylko co do tego, w jakiem się ona mieście zrodziła.

Jedni utrzymują, że powstała w Wenecyi, inni wynalazek jej przypisują Florencyi, wielu zaś przypuszcza, że Genua pierwsza ją u siebie zaprowadziła. Zdaje się, że to ostatnie twierdzenie ma za sobą najwięcej prawdopodobieństwa, choćby tylko dlatego, że aż dotąd pod nazwą: *Loteryi Genueńskiej* rozumiemy loteryą złożoną z 90 numerów, i że historya wspomina, iż ten rodzaj gry już w bardzo odległych czasach był we wzmiankowanem mieście we zwyczaju.

Początkowo loterya była przedmiotem prywatnej wyłącznie spekulacyi i dopiero w r. 1664 stała się instytucyą skarbową. Na trzy lata przed tem rzeczpospolita Genueńska potrzebowała wydać około pół miliona genueńskich lirów na wzmocnienie dawnych i wzniesienie nowych fortyfikacyi dla zabezpieczenia miasta. Pomiędzy sposobami wynalezionemi dla przywrócenia równowagi w bilansie, zaproponowano nałożenie podatku na grę stawkowę. Izba finansów dla lepszego dopięcia celu postanowiła dnia 20 Lutego 1664 r., wypuścić tę grę w dzierżawę. Wielu było ubiegających się i każdy z nich musiał złożyć projekt kontraktu i wskazać miejsce, w którem miał zamiar utrzymywać bank czyli kantor. Z końcem roku 1664 pierwsza koncesya została przyznaną *Jakóbowi Negra* za roczną opłatą 50,000 lirów genueńskich. W r. 1669 summa dzierżawna wynosiła 70,000 lirów, a w roku 1699 t. j. w niespełna lat 40 od daty pierwszego wydzierżawienia podniosła się do 320,000 lirów.

Wszystko każe przypuszczać że ówczesna loterya genueńska, zasadzająca się na ciągnieniu pięciu numerów i dopuszaczjąca wszelkiego rodzaju kombinacyi, albo bardzo mało, albo też wcale nie była różną od praktykującej się dotąd loteryi liczbowej.

Grę genueńską zaczęto zaraz naśladować w państewkach sąsiednich. Spekulanci, pierwsi przenieśli do swoich krajów tę instytucyą i pierwsi starali się o jej utrzymanie i zakorzenienie, najprzód na własny rachunek, a potem dzieląc się uczciwym zyskiem ze swojemi rządami. Te ostatnie jednak widząc, że owoce z każdym dniem stają się obfitszemi, skończyły natem, że same zajęły się pielęgnowaniem tej złotodajnej, choć trującej rośliny. W ten sposób zapuściła ona swoje korzenie we wszystkich państwach włoskich i prawie we wszystkich krajach europejskich, gdzie kosztowała później wiele czasu i trudu rządy, które spostrzegłszy jej rujnujące i demoralizujące skutki, zapragnęły się jej pozbyć.

Oto, jak się wyraża o loteryi w Rzymie jeden z najbardziej Włochom sprzyjających autorów francuskich, Edmund About: „Byłem dziecięciem, kiedy postęp cywilizacyi wpłynął na upadek loteryi we Francyi, ale przypominam sobie, że mówiono o niej jako o grze ludowej i że osoby należące do klasy inteligentnej starały się o to, aby ich nie widziano kiedy stawiały pieniądze na tę loteryą. Tutaj przeciwnie, pierwsze miejscowe znakomitości uważają za rzecz właściwą próbować szczęścia i potrącać łokciami mularzy w kantorach loteryi. U nas ta gra była występkiem, tutaj nie uważa się nawet za złe przyzwyczajenie.”

Loterya liczbowa, do której się wyłącznie powyższe uwagi odnoszą, była rzeczywiście instytucyą szkodliwą zarówno dla dobrobytu jak i dla moralności niższych klas społeczeństwa, i z tego powodu u nas już przed kilkudziesięciu laty, z rozporządzenia rządu, została zniesioną.

Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom drugi.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 1.)

Porównywała go z ludźmi których widywała w świecie i wiedziała, że go nad wszystkich innych woli, nie pomijając lorda Stockbridge, pomimo jego sławy w eleganckim świecie. O miłości w prawdziwem znaczeniu tego słowa, o miłości silnej, namiętnej, zapominającej o sobie, panna Hardwicke nic nie wiedziała i nic wiedzieć nie chciała. Gdyby kto jej był nawet powiedział, że mogłaby uledz temu uczuciu, byłaby znalazła to przypuszczenie obrażającem; ale wiedziała że mogła stanowczo uznać pierwszeństwo jednego mężczyzny nad innemi, a to pierwszeństwo przyznawała Templowi De Benham.

Tak godziny mijały; panna młoda, pan młody i wiele gości w różnych częściach miasta, przygotowywali się na uroczystość i wdziewali świąteczne stroje; bo od trzydziestu do czterdziestu osób było zaproszonych na ślub, sto pięćdziesiąt miało zasiąść przy śniadaniu, a wieczór miał być wydany świetny bal w wielkiej sali wybudowanej przez pana Hardwicke, kiedy jego siostra w świat wchodziła. Zastawiono bogate srebra, kryształy i porcelany do śniadania w jadalnej sali; w parafialnym kościele urządzano wszystko do ślubu, ustawiając klęczniki, strojąc ołtarz, porządkując zakrystyę, gdzie wikaryusze oczekiwali na biskupa mającego ceremonii dopełnić.

Nareszcie goście zaczęli przybywać, a pomiędzy niemi druchny, które pan Hardwicke przyjmował w wielkim salonie. Ośm było tych młodych dziewic, ubranych w nadpowietrzne tkaniny z bieli, w przezroczystych zasłonach, w wieńcach z róż różowych i białych, wyglądających prawie także jak panny młode, a najstarsza i najbrzydsza pomiędzy niemi była nawet córką barona.

Kiedy panna młoda była już ubraną i gotową, goście naprzód pojechali, a druchny, zapakowane w dwóch karetach, udały się także do kościoła; pan Hardwicke został chwilę sam z siostrą w salonie, chciał z niej korzystać żeby ostatnie słowa pożegnania jej powiedzieć w tym domu, gdzie tak długo razem żyli.

— Klaudyo moja jedyna, moja siostro ukochana! rzekł wzruszony. Proszę Boga żebyś była szczęśliwą.

— Jestem szczęśliwą, odpowiedziała uśmiechając się.

— Niechaj Bogu będą za to dzięki, rzekł p. Hardwicke uroczyście.

Byłby chciał jeszcze raz ją uściskać: ale nie mógł ją ucałować ani w czoło, bo welon ją całą zasłaniał, ani w rękę okrytą rękawiczką, wziął więc koniec welonu i przycisnął go do ust i kiedy to czynił łzy, spływały mu po twarzy.

— Kareta mylady zajechała, powiedział marszałek, otwierając drzwi i dając z góry swej pani tytuł jaki miała nosić.

Za chwilę potem jechali do kościoła w wielkiej dawnej karecie, używanej tylko na szczególne uroczystości. Schody przed kościołem były wilgotne i ślizkie, tłum otoczający je był zmoknięty i drżący, nosy ośmiu dziewic oczekujących na pannę młodą poczerwieniały od zimna, ale o wszystkich tych przykrościach zapomniano, gdy panna młoda wsparta na ręku brata, przeszła przez kościół, a za nią druchny; gdy organy zaczęły łagodnie grać, biskup otworzył książkę i pan młody stanął na swojem miejscu. Ceremonia zaraz się rozpoczęła i poważne milczenie zapanowało w kościele.

Koło ołtarza stali: lady De Benham, p. Hardwicke, Arczy Blyth i rodzice druchen; reszta zaproszonych osób mieściła się w najbliższych ławkach, a tłum nieznajomych napełniał resztę kościoła.

Oczy Arczybalda spoglądały na wszystkie strony, szukając panny Albyne.

— Będę tam we czwartek, powiedziała mu parę dni wprzódy; nie zobaczysz mnie pan, ale ja wszystko będę widzieć z ciemnego kącika.

Arczy bardzo żywo powstał przeciw temu zamiarowi, o ile śmiał przynajmniej, i radził jej aby od niego odstąpiła, ale zupełnie nie zważała na jego prośby i rady.

— Powiedziałam sobie że będę na tym ślubie, i chcę to uczynić, rzekła. Ale nie lękaj się, panie Blyth. Czy myślisz że stanę pomiędzy niemi przed ołtarzem i zabiorę pierścionek, albo ofiaruję twojej kuzynce wybór pomiędzy trucizną i sztyletem?

I śmiejąc się choć z przymusem, nie dała Arczybaldowi więcej o tem wspomnieć.

Teraz jednak, zamiast słuchać uroczystych słów łączących dwa żywoty, na dobrą lub złą dolę, dopóki śmierć ich nie rozłączy, oglądał skwapliwie każden kapelusz w kościele, starał się wzrokiem przebić ciemności, wpatrywał się w każdy kącik, za każdą kolumnę, ale nigdzie nie ujrzał oblicza ani kształtów przypominających mu Julię Albyne.

Przysięgi były złożone, pierścionki zamienione, ręce złączone, biskup oświadczył że Temple De Benham i Klaudya Hardwicke są małżonkami w obliczu Boga, pobłogosławił im uroczystemi słowami rytuału, chór zabrzmiał uroczystą pieśnią i za dziesięć minut wszystko się skończyło.

Kiedy De Benham powstał, podał rękę swej żonie i znalazł się w zakrystyi wśród osób winszujących mu, zdawało mu się że się budzi z dziwnego snu. Kiedy jeden z wikaryuszów podał pióro Klaudyi i wskazał palcem miejsce w księdze, mówiąc: Tutaj, lady De Benham,—ten tytuł, który dotąd wydawał mu się wyłączną własnością jego matki, niemile brzmiał w jego uszach. Widok jej podpisu obok jego własnego, oba jeszcze wilgotne, zdziwił go. Zdawało mu się że przeszedł głęboką przepaść dzielącą jego przeszłe życie z przyszłością, i że most łączący obydwa brzegi, nagle się zapadł i zniknął w bezdennej otchłani.

Ale kiedy ją wyprowadzał z kościoła i usłyszał wyrazy uwielbienia pomiędzy tłumem, i usiadł obok niej w powozie zaprzężonym czterema siwemi pocztowemi końmi i powożonym przez dwóch pocztylionów, doznał chwilowego uczucia dumy i tryumfu.

— Moja piękna Klaudyo! zawołał przyciskając do siebie jej ręki z prawdziwym, chociaż przemijającym zapałem.

Ale Klaudya zarumieniła się lekko, odsunęła się i nic nie odpowiedziała i De Benham widział że prawie obrażoną się czuła.

Tymczasem druchny i reszta gości narzekali na brzydki czas, i jak mogli wsiadali do pierwszego lepszego powozu. Dopiero kiedy do Strathellan House przyjechali, postrzegli że brakowało Arczybalda Blyth; ale Arczy w ostatniej chwili, kiedy się już zbliżał do drzwi, postrzegł nagle pannę Albyne. Przez chwilę tylko ujrzał ją wśród tłumu i zaraz zniknęła mu z oczu; ale to mu wystarczyło. Tłómacząc się jakiemiś niezrozumiałemi słowami, puścił rękę damy którą prowadził, zwrócił się na bok, i zastał ją siedzącą w ciemnej ławce pod organami. Ręce trzymała złożone i patrzała przed siebie blada i smutna, czekając dopóki tłum się nie rozejdzie, żeby módz wyjść niepostrzeżona.

— Jakżem szczęśliwy że panią znalazłem! zawołał Arczy; wszędzie ciebie szukałem. Czy pani sama tu przyszłaś?

— Tak, zupełnie sama, odpowiedziała uśmiechając się.

Ale ten uśmiech tak go rozrzewnił, że usiadł przy niej w ławce i wziął ją za rękę.

— Wspaniały był to ślub, powiedziała drżącym głosem. Kto była ta pani w atłasowej popielatej sukni, stojąca obok pana Hardwicke?

— To była lady De Benham, to jest stara lady De Benham, odrzekł Arczy.

— Tak mi się zdawało; nie jest do niej podobny, ale ma jej oczy.

Siedzieli potem przez chwilę przysłuchując się głosom odzywającym się przy drzwiach i odgłosowi odjeżdżających karet.

— Albo była dziś piękniejszą niż zwykle, albo nie wiedziałam jak rzeczywiście jest piękną, rzekła po chwili panna Albyne.

Arczy nie wiedząc co na to odpowiedzieć, milczał.

— Powinni być szczęśliwi, ciągnęła dalej, mówiąc raczej do siebie, jak do niego, przynajmniej posiadają wszystkie warunki po temu.

I kiedy to powiedziała, odwróciła się, spuściła oczy i Arczy widział że płakała.

— O nie płacz, nie płacz! zawołał zmartwiony. Na co się to teraz przyda? Będą szczęśliwi, bądź pani tego pewną, przynajmniej tak szczęśliwi jak na to zasługują.

— Spodziewam się że tak będzie. Spodziewam się że będą bardzo, bardzo szczęśliwi; proszę Boga żeby tak było.

— Lepiejbyś pani o nich zapomniała, rzekł Arczy, mówiąc po prostu co myślał.

I widząc że łzy jej ciągle płynęły, wziął ją znów za rękę i pieścił ją, jak gdyby chciał pocieszać płaczące dziecko.

— Czyż to nie szkoda, powiedział, tak serce swoje i miłość na próżno marnować. On ciebie nigdy na prawdę nie kochał, inaczej nie mógłby cię opuścić. Może i tamtej także nie kocha; zdaje mi się że jej nie kocha, że kocha tylko siebie, swoją dumę i swoich drogich przodków, którzy, kiedy już pomarli, byliby mogli wcale się nie urodzić. Zapomnij o nim, nie myśl o nim, i... i staraj się trochę o mnie myśleć. Ja nie jestem lordem, nie jestem żadnym geniuszem, nie jestem rozumnym, ale wszystko na świecie poświęciłbym żeby cię szczęśliwą uczynić. Nie można przecie więcej zrobić jak być uczciwym i wiernym i kochać z całego serca.

To wszystko powiedziawszy, Arczy dziwiąc się sam swojej śmiałości, ręką objął kibić panny Albyne; ale ona na to wstała spiesznie, mówiąc że ich zamkną w kościele, jeżeli dłużej będą siedzieć.

— Niema się czego obawiać, rzekł Arczy, powozy jeszcze wszystkie nie odjechały.

— Muszę iść w każdym razie, już jest po jedenastej.

— Ja panią do domu odprowadzę.

— To nie może być. Musisz pan pośpieszyć na śniadanie.

— Mniejsza o śniadanie, powiedział Arczy.

— Ale...

— Ale, widzisz, gdybyś mi pani najmniejszy promyk nadziei ukazała, byłbym tak szczęśliwy, że bażanty i wino szampańskie kuzyna Hardwicke nie przeszłyby mi przez gardło; a jeżeli, z drugiej strony, powiesz mi że to wszystko na nic się nie zda... wino byłoby dla mnie trucizną, a jedzenie jakby piaskiem i popiołem. W każdym razie nie mam więc po co iść na śniadanie.

Panna Albyne otworzyła drzwi ławki.

— Najlepiej więc będzie, powiedziała z uśmiechem przypominającym trochę dawną wesołość, nic nie odpowiedzieć.

Poszła prędko ku drzwiom, i tam jeszcze czekali. Ostatni powóz właśnie odjeżdżał, kilka osób przygotowywało się do wyjścia i otwierało parasole, i dzwony wesoło się odzywały.

— Słuchaj pani tych dzwonów, powiedział Arczy. Tak jak mówi Tennyson, niechaj ci dzwonią na śmierć dawnej, niewiernej miłości, a na cześć nowej, prawdziwej miłości.

— Nigdy sobie tego nie daruję, panie Blyth, powiedziała, jeżeli nie będziesz na tem śniadaniu i nie będziesz miał mowy. Bardzo dobrze byś się z tego wywiązał.

— Okrutną jesteś, tak się ze mnie wyśmiewać, panno Albyne, powiedział Arczy z wymówką, kiedy prawdę mówię.

— A ja tak długo prawdę mówiłam, że mnie to nareszcie znudziło. Powinienbyś mieć mowę, podziękować w imieniu druchen, kiedy zdrowie ich wniosą. Nie miałam wyobrażenia abyś był tak wymowny, panie Blyth.

Arczy rozdrażniony pobiegł zawołać dorożkę; kiedy jej pomógł wsiąść do niej, stał przez chwilę trzymając drzwiczki i nie zważając na deszcz niszczący świeżość jego stroju.

— Widzisz, panno Albyne, powiedział, zdradzając więcej wzruszenia niż dotąd okazał, jeżeli mam być nieszczęśliwym, wolę od razu o tem wiedzieć. Pozwól mi odprowadzić się do domu, albo odpraw mnie na zawsze.

— A gdybym ani jednego ani drugiego nie uczyniła, albo i jedno i drugie.

— Nie, nie, niechaj będzie jedno albo drugie, błagam cię. Dopóki nic nie powiedziałem, niepewność była znośną, ale kiedy cię zobaczyłem płaczącą i czułem jak mocno cię kocham, mimowolnie te słowa wyrwały mi się.

— Boję się że pan zmokniesz, stojąc tak bez parasola, powiedziała panna Albyne drażniąc go.

Usta Arczybalda zadrżały.

— Odpowiedz mi pani, błagał.

— Z obawy więc żebyś się pan nie zaziębił, i dla tego że nie masz parasola... możesz mnie odwieść do domu.

Arczy wskoczył do dorożki i zamknął drzwiczki.

Przeznaczenie wyraźnie postanowiło, że los tej młodej osoby w kościele się rozstrzygnie.

ROZDZIAŁ XXV.

Mąż i żona.

O pięć minut po dwunastej, pociąg zagraniczny opuszczał Londyn, unosząc z sobą De Benhama, jego żonę, pannę służącą, kuryera Włocha i prawdziwą górę pakunków. Nowo zaślubiona para siedziała w osobnym wagonie. Z trudnością przyjechali na czas na dworzec i wyjechali w ostatniej chwili, nie pożegnawszy się nawet z gośćmi zgromadzonemi w salonie.

— Gdyby nie Bruno, nie bylibyśmy wcale wyjechali, powiedział De Benham, ułożywszy parasole w siatce nad głową, porachowawszy kołdry i torby i umieściwszy bezpiecznie szkatułkę toaletową żony.

— Zdaje mi się że nie, powiedziała Klaudya.

— Odjechaliśmy i tak pięć minut później. Byłoby to bardzo niemiło gdybyśmy się byli spóźnili na pociąg.

— Bardzo niemiło.

— Niema innego pociągu przed wpół do czwartej, a następny statek wyrusza z Folkestone dopiero o kwandrans na dwunastą, bylibyśmy musieli tam się zatrzymać do jutra rana.

— To nawet byłoby mniej nieprzyjemne, jak czekać w Londynie półczwartej godziny.

— Prawda. Nie wiem co bylibyśmy zrobili. Powracać na śniadanie byłoby zanadto śmiesznem. Gdyby czas był piękniejszy, bylibyśmy mogli pożytecznie się zabawić zwiedzając Wieżę londyńską albo Tunel pod Tamizą.

Lady De Benham uśmiechnęła się lekko i rzekła:

— Okropnie by to było!

— Ale dzisiaj nawet te przyjemności byłyby niemożliwe.

— Spodziewam się że będzie piękniej z tamtej strony kanału, powiedziała Klaudya. Paryż taki smutny kiedy deszcz pada.

Patrzeli potem oboje przez okno w milczeniu. Pozostawili już za sobą cegielnie i warzywne ogrody znajdujące się pod miastem, ale nawet śliczne pagórki okryte świeżą zielonością smutnie wyglądały natenczas.

— Zdaje mi się że będziemy zadowoleni z Brunona, powiedział De Benham po chwili.

Bruno był to włoski kuryer w niebieskiej czapce ze złotym galonem, który teraz umizgał się do panny służącej, siedzącej z nim w sąsiednim wagonie drugiej klassy.

— Tak, zdaje mi się być przytomnym i czynnym, odpowiedziała Klaudya.

I rozmowa znów się urwała.

Pędzili nie zatrzymując się na mniejszych stacyach; kiedy raz stanęli na trzy minuty, De Benham kupił „Timesa“ i kilka innych gazet.

— Przyjemnie będzie mieć co czytać na statku, powiedział, jakby się chciał tłómaczyć, bo zaledwie od godziny wyjechali, i czuł że byłoby nie do darowania już potrzebować rozrywki. Czy podróż na morzu ci nie szkodzi?

— Nie; przynajmniej mogę przepłynąć kanał bez cierpienia.

— Taka mgła jest jakby oliwą rzucona na morze, zauważył De Benham; będzie tak spokojne jak sadzawka.

Przymuszał się do mówienia, ale zupełnie nie miał nic do powiedzenia. Dwa razy milczenie już pomiędzy niemi panowało, i czuł że nie powinien pozwolić żeby się to trzeci raz zdarzyło. Jemu wypadało wynajdywać przedmioty do rozmowy, starać się żeby godziny przyjemnie upływały, okazywać zadowolenie, wesołość, przywiązanie. Wiedział że to wszystko powinienby czynić, ale, z rozpaczą pytał się siebie, jak się do tego weźmie. Nie umiał nic wynaleźć, umysł jego był jakby sparaliżowany, był zmęczony moralnie i fizycznie, jakiś przymus znać było nawet w jego głosie.

Postanowiwszy jednak, bądź co bądź, nie dać upaść rozmowie, zaczął przerzucać kartki Przewodnika podróży.

— W Boulogne zatrzymujemy się trzy kwandranse, powiedział, ale będziemy tam dopiero o wpół do piątej. Trzeba będzie wprzódy czem się posilić.

— Ja niczego nie będę potrzebowała, odpowiedziała Klaudya.

— Siadają teraz do śniadauia w Strathellan House.

— Bardzo się cieszę że postanowiliśmy nie zostać na niem, rzekła Klaudya.

— Ja także; jestto bardzo nudna ceremonia. Jednak byłbym wolał żebyś była co zjadła przed wyjazdem. Czy nie wieje z tych wentylatorów?

Odpowiedziała na to pytanie że nie wiało z wentylatorów, ale że jej w nogi było zimno, i De Benham okrył je kołdrą, starając się wiele troskliwości okazać.

— Muszę cię wielkiem staraniem otaczać, powiedział uśmiechając się.

Dotąd siedział naprzeciwko niej, teraz zmienił miejsce i usiadł obok.

— Musisz także o sobie pamiętać, powiedziała Klaudya. Tak bladym teraz jesteś, więcej niż kiedykolwiek.

— To bardzo źle, bo byłbym chciał jak najlepiej dzisiaj wyglądać. Nie chciałbym żeby ludzie mówili że zostałaś żoną widma.

— Trzeba więc starać się mniej duchowo wyglądać.

— Spróbuję. Trochę nadużywałem moich sił w tych ostatnich czasach; tyle było do roboty i do myślenia.

Westchnął, oparł się i znowu milczał.

Czas zamiast się wyjaśniać ku wieczorowi, stawał się coraz bardziej posępnym; mgła coraz gęstsza zasłaniała wszystkie przedmioty, okrywała parą okna, przez które przejrzeć nie było można.

Pół godziny tak minęło w najgłębszem milczeniu, nareszcie De Benham zapytał się żony czyby chciała przejrzeć Timesa.

— Trudno rozmawiać, powiedział, kiedy się jedzie.

Wzięła dziennik i niedługo go położyła, mówiąc:

— Myślałam sobie właśnie, że chciałabym pojechać do Zollenstrasse.

De Benham zagłębiwszy się w czytaniu swojej gazety, podniósł oczy zdziwiony.

— Do Zollenstrasse? powtórzył.

— Tak; czy nie moglibyśmy wstąpić po drodze?

— Trzeba by na to wiele zboczyć i wiele czasu poświęcić.

— Doprawdy?

— Nic tam niema coby cię mogło zająć.

— Tak myślisz?

— Jestem tego pewien. Okolica nie jest wyjątkowo piękną, a miasto nic nie posiada, coby mogło przyciągać cudzoziemców.

Klaudya wyglądając przez okno słuchała tych uwag, nic nie odpowiadając.

— Co do mnie, ciągnął dalej De Benham, to zupełnie co innego. Lubię to miejsce, dla tego że mnie z niem wiążą wspomnienia młodości, ale ty nie mając takich wspomnień, na śmierć byś się znudziła.

— Nie mam żadnej ochoty umierać z nudów, powiedziała Klaudya, i zaczęła znów czytać dziennik.

Ale była urażoną, a De Benham ani się domyślał że słowami swemi mógł jej przykrość sprawić. Nie przyszło mu na myśl że może życzyła sobie poznać to miejsce dla tego, że on tyle lat tam przepędził. Gdyby Julia Albyne, w tych uroczych chwilach przepędzonych razem w Chillingford, powiedziała mu że musi ją kiedyś zawieść do Zollenstrasse, odgadłby od razu że chciała sobie przyswoić jego przeszłość, że domek w którym mieszkał, ulice gdzie codzień się przechadzał, udając się do akademii, sale gdzie się uczył lub które były świadkami jego tryumfów, że to wszystko byłoby dla niej drogiem i świętem. Byłby ją wziął w swoje objęcia, podziękował jej za to pragnienie natchnione miłością i obiecał jej że go spełni. Ale ani na chwilę nie postało w jego głowie, żeby Klaudya, jego żona, mogła, dla niego, czuć jakiś pociąg do tego miejsca. Zdawało mu się że chciała zwiedzić Zollenstrasse tak, jakby chciała widzieć Ems, Wiesbaden, Schlangenbad lub inne jakie wo-

dy niemieckie, i w takim razie wiedział że doznałaby zawodu. Jemu samemu niemiło byłoby powrócić tam pod postacią wielkiego pana, z żoną, panną służącą i kuryerem; starał się więc odjąć jej ochotę do tego, i zaręczywszy ją że śmiertelnie by się znudziła w Zollenstrasse, więcej o tem nie myślał. Powrócili każde do swego dziennika i słowa już nie zamienili dopóki nie zajechali do Folkstone.

ROZDZIAŁ XXVI.

Lady De Benham obejmuje obowiązki swego położenia.

Trudno sobie wyobrazić coś mniej przyjemnego jak podróż morską w ten dzień. Powietrze było wilgotne, przejmujące, ciężkie; dym opadał na pokład; mgła ich otaczała jak firanką; nic nie widzieli ani przed sobą, ani za sobą, i zaledwie czuli poruszenie statku parowego, tak, że od chwili kiedy odpłynęli od jednego brzegu, dopóki po drugiego nie dobili, zdawało im się że na miejscu stali. De Benham byłby chciał żeby Klaudya zeszła do salonu dam, ale ona wolała zostać na wilgotnym pokładzie i na deszczu; okrył ją więc kołdrami, a kuryer przyniósł jej stołeczek pod nogi. Urządziwszy wszystko tak wygodnie jak miejsce i czas na to pozwalały, De Benham zostawił ją siedzącą pod parasolem a sam poszedł dalej wypalić cygaro.

Wysiedli wśród deszczu w Boulogne, posłali Brunona na komorę z pakunkami a sami prosto pojechali na dworzec kolei żelaznej. Tam się wysuszyli przy ogniu i posilili się się przy małym stoliczku, w najcieplejszym kąciku.

— Czy pewno, moja najdroższa, powiedział De Benham, wolisz dzisiaj wieczór dojechać do Amiens?

Paląc cygaro na statku parowym, myślał że powinienby czasem, mówiąc do niej, użyć słów wyrażających trochę przywiązania, i wybrał „moja najdroższa“, jako najlepiej zastosowane do ich wzajemnego położenia, jednak z trudnością to wymówił.

— Chętniebym także została w Boulogne, odpowiedziała, i chociaż nie podniosła oczów wlepionych w talerz, zdawało się De Benhamowi, że kiedy ją tak nazwał, lekki odcień zadowolnienia przebiegł po jej twarzy.

— Nie jesteś zmęczona?

— Bynajmniej; gotowa jestem wprost do Paryża pojechać.

— Nie, Paryż za daleko; ale do Amiens tak blizko, że z łatwością będziemy mogli się trzymać pierwotnych naszych zamiarów. Będziemy tam za godzinę i czterdzieści minut.

Było już po siódméj, i ściemniało się kiedy wyjechali. De Benham otuliwszy jak wprzódy Klaudyę w szale i kołdry, i obejrzawszy czy Bruno niczego nie zapomniał, usiadł naprzeciwko swej żony i pociąg ruszył.

— Zanadto krótka to podróż żeby warto usnąć, powiedział, opierając się znużony.

Zaledwie to wymówił, pudełko które umieścił sam przed chwilą wraz z książkami i innemi przedmiotami, w siatce nad głową Klaudyi, nachyliło się naprzód. Ujrzał niebezpieczeństwo, podniósł rękę, zapobiedz je w chwili gdy już spadało, i z przytłumionym okrzykiem rzucił się na swoje miejsce.

— Co się stało? zapytała Klaudya.

— Pudełko byłoby ci na głowę spadło, odpowiedział De Benham, chwytając powietrze z trudnością.

— I nic więcej?

— Nic. Nie wiesz co to za ciężar.

— Myślałam że rękę sobie zwichnąłeś, powiedziała Klaudya.

— O nie, nie!

De Benham to mówiąc wstał i poszedł usiąść koło drugiego okna, oddalając się o całą długość powozu od swojej żony.

— Czyby ci to nic nie szkodziło, powiedział po chwili, gdybym spuścił to okno?

Odpowiedziała że nicby jej to nie szkodziło; otworzył więc okno i siedział długo w milczeniu, spoglądając na smutny krajobraz i na smutniejsze niebo. Mgła poszła w górę ku wieczorowi, i ostatnie jej strzępy odlatywały ku południo-zachodowi; z tej strony ciemne światło rozciągało się na całym widnokręgu, oznaczając miejsce gdzie słońce zaszło, rzucając czerwoną łunę na jałowe piaski i na leniwą rzekę, rozszerzającą się w swym pochodzie do morza. Po trochu światłość znikła, wybrzeże pozostało w tyle a pociąg pędził pomiędzy porębami i zaroślami czarnych sosen. Noc zapadła i tylko latarnia w wagonie rzucała słabe światło.

— Klaudyo, powiedział De Benham, czy śpisz?

Dwadzieścia minut upłynęło od chwili kiedy poszedł usiąść koło okna, i przez ten cały czas milczał, pochylony naprzód i oparłszy głowę o rękę.

— Nie, odpowiedziała chłodno, ale myślałam że spałeś.

— Czy masz wódkę kolońską?

— Mam, dużą flaszkę.

Coś niezwyczajnego w jego postawie i głosie uderzyło ją wtedy; wyjęła śpiesznie flaszkę mówiąc:

— Jestem pewna że ci niedobrze.

— Nie... nie zupełnie jestem zdrów.

— Co to jest? Czy ci jest słabo? czy cierpisz?

— Słabo mi bardzo.

Pochyliła się nad nim; umaczała chustkę w wódce kolońskiej, potarła nią jego czoło i ręce.

— Może ci teraz będzie lepiej, powiedziała łagodnie.

— Dziękuję, to dosyć; tak mi przykro tyle kłopotu ci sprawiać.

Oparł zmęczoną głowę o róg powozu, świa tło z góry oświeciło jego twarz i Klaudya przeraziła się widząc jak był blady i mizerny.

— Czy nie lepiej byłoby zatrzymać się na przyszłéj stacyi? spytała.

Ale nie chciał o tem słyszeć; życzył sobie koniecznie dojechać do Amiens.

— Gdy się zatrzymamy, Bruno przyniesie mi szklankę wina; jak się napiję trochę wina, albo lepiej wódki, przyjdę zaraz do siebie.

Na następnej stacyi Bruno przyniósł mu kieliszek wódki, i dalej pojechali, De Benham milczący w swoim kącie, a Klaudya naprzeciwko patrząc niespokojnie na niego. Przez jakiś czas, widząc że miał oczy zamknięte, myślała że spał, ale niedaleko ujechali, kiedy znowu powiedział:

— Na nic się to nie zda. Nie mogę dłużej wytrzymać. Musimy stanąć w Abbeville.

I Klaudya uważała że za każdą razą mówił z większą trudnością, chwytając powietrze pomiędzy każdem słowem.

— Abbeville? powtórzyła stanąwszy pod lampą żeby módz przeczytać objaśnienia Przewodnika.

— Przejechaliśmy właśnie Montreuil, teraz będzie Rue, potem Noyelles, a potem Abbeville.

— Jak rychło... tam dojedziemy?

— Za kwadrans.

Znów zamknął oczy i nic nie mówił.

Zdawało się Klaudyi że ten ostatni kwadrans nigdy nie minie, że nigdy nie dojadą do Rue, a kiedy minęli to miejsce, że nigdy nie przybędą do Noyelles. Nareszcie kiedy przez jedno i drugie przejechali, pociąg zwolnił kroku i z długim i przeraźliwym gwizdaniem wjechał do dworca w Abbeville. Tutaj zawołała na konduktora i na służących, posłała Brunona po rzeczy, i niedługo De Benham znalazł się w powozie toczącym się po brukowanej drodze pomiędzy dwoma rzędami olbrzymich topoli.

Pomimo że tak był cierpiący, De Benham uważał ze zdziwieniem spokojną przytomność, z jaką jego żona umiała wypełniać obowiązki swego położenia.

— Smutny to początek, Klaudyo, powiedział; bardzo mi to przykro dla ciebie.

— Nie dla mnie, ale dla ciebie. Czy chcesz się oprzeć o mnie.

— Nie, dziękuję. Mniej czuję... trzęsienia... tak.

I nachylił się naprzód przyciskając rękę do boku. Klaudya widząc co go kosztowało każde słowo, i z jaką trudnością oddychał, siedziała w milczeniu i więcej nie dopytywała. Jechali ciągle, stangret trzaskał z bicza, dzwonki przy zaprzęgach odzywały się, topole znikały jedna po drugiej wśród ciemności, a Abbeville, którego światełka migające widzieli od początku przed sobą, zdawało się zawsze równo oddalone.

Nareszcie dojechali do długiego, krętego przedmieścia, przejechali most zwodzony i bramę ufortyfikowaną i znaleźli się na rynku otoczonym oświeconemi sklepami, napełnionym ludem przysłuchującym się muzyce przechodniej orkiestry. Bruno zsiadłszy z kozła, gdzie zajmował miejsce obok stangreta, otworzył drzwiczki od powozu, i zapytał:

— Mylord chce pojechać do hotelu pod Wołową Głową?

— Do najlepszego jaki jest, odpowiedziała Klaudya stanowczo.

Kuryer, dawszy znak stangretowi, pobiegł naprzód oznajmić ich przybycie. Za chwilę zwrócili się do szerokiej, spokojnej ulicy, wjechali pod nizką bramę i zatrzymali w dziedzińcu starożytnego hotelu, otoczonym drewnianemi galeryami. Tutaj, wśród odgłosu mnogich dzwonków, byli powitani przez gospodynię otoczoną swą służbą męzką i żeńską. Widząc jak De Benham wysiadał zaledwie mogąc się utrzymać na nogach i opierając się na Brunonie, gospodyni zaczęła wyrażać swoje politowanie.

— Czy mylord chory? zdaje się wiele cierpieć. Czy można mieć spokojny pokój? Bez wątpienia. Żółty pokój był próżny, a nie było pokoju spokojniejszego i przyjemniejszego od żółtego pokoju. Co do doktora, doktór Laportaire mieszkał tuż obok na rogu rynku, i Franciszek mógł zaraz po niego pobiedz. Mylady nie miała się czego obawiać, bo doktór Laportaire był znany i ceniony w całym departamencie. W tę stronę trzeba iść; szczęściem schody nie były przykre a żółty pokój był zaraz obok, na końcu korytarza.

I wśród potoku słów, gospodyni wprowadziła swych gości do ponurego i wielkiego pokoju, z łóżkiem podobnem do katafalku, ozdobionem pękami grobowo wyglądających piór i frankami adamaszkowemi, które niegdyś mogły być koloru żółtego. Ściany były pomalowane w wybladłe arabeski, nierówna podłoga była pokryta gdzieniegdzie kawałkami dywana, i starożytne szafy z czarnego dębu z ozdobami srebrnemi zczerniałemi, dopełniały umeblowania. Przed kominem, wielkim jak jaskinia, klęczał stary człowiek w bluzie i sabotach, zapalając za pomocą mieszka stos słomy i drzewa, na którym można było w średnich wiekach spalić czarownicę.

De Benham upadł na pierwszym stołku ko-

ło drzwi, kiedy Bruno i gospodyni przysuwali do kominka kanapę o długich i cienkich nogach.

Klaudya nachyliła się nad nim i dotknęła jego ręki prawie nieśmiało.

— Jakże zimna! powiedziała. Połóż się na kanapie a okryję cię dopóki doktor nie przyjdzie.

De Benham potrząsł głową; zdawało się że już nie mógł mówić.

— Parę godzin temu, ciągnęła dalej, powiedziałeś że musisz mieć o mnie staranie; ale nim na ciebie przyjdzie kolej, mnie wypadnie mieć o tobie staranie, i spodziewam się że potrafię to uczynić.

Dziwny wyraz, jakby moralnego cierpienia, silniejszego jeszcze od osłabienia fizycznego, przeszedł po twarzy młodego człowieka.

— Klaudyo, powiedział urywanym głosem, jest... jestto... moja wina. Powinienbym był... przewidzieć... nie... nie miałem... prawa...

— Cicho! ani słowa o tem. Doktór idzie.

P. Laportaire, łysy, z brodą i okularami, zapięty pod szyję w długim surducie, stał przez chwilę na progu, jak gdyby chciał zrozumieć położenie, i przysunął się do chorego. Wziął go za puls, dopytywał się Klaudyi i zdawał się nie wiedzieć co począć.

— Jest wielki brak sił, powiedział, zdejmując i obcierając okulary; brak sił nie do wytłómaczenia.

De Benham się odezwał:

— Mógłbym... wytłómaczyć to... panu Laportaire, powiedział, gdybyś nas samych zostawiła... Klaudyo.

Gospodyni i jej służące odeszły już po prześcieradła i inne potrzebne rzeczy, stary człowiek przeniósł się ze swoim miechem do salonu, i Klaudya tam się zwróciła.

— Będę tu obok, powiedziała do doktora, i z lekkim rumieńcem na twarzy przeszła do salonu.

Drzwi się zaledwie za nią zamknęły, kiedy De Benham nie domyślając się jej przykrość sprawił, podniósł się nadludzkiem prawie wysileniem i trzymając się zawsze stołka, powiedział:

— Pięć miesięcy temu zostałem ranny, i rana moja nigdy dobrze się nie zagoiła; temu parę godzin otworzyła się na nowo. Moja żona o tem nic nie wie; zachowaj moją tajemnicę, błagam cię.

Postąpił potem ku kanapie, ale się zachwiał i byłby upadł jak długi, gdyby doktór silną ręką go nie zatrzymał, i zemdlał na środku pokoju.

Pan Laportaire nie mogąc go długo utrzymać, położył go powoli na dywanie, rozwiązał krawatę i zawołał o pomoc. Klaudya natychmiast wyszła z drugiego pokoju.

— O nie, nie panią wołałem, zawołał doktór, przypominając sobie słowa chorego.

Ale Klaudya wejrzeniem tylko zmusiła go do milczenia.

— Mam do tego prawo, powiedziała dumnie, i uklękła obok męża podnosząc jego głowę.

Właścicielka hotelu, kuryer i służący wszyscy przybiegli na wołanie doktora, ale on ich wszystkich odprawił, zatrzymując tylko Brunona

— Co to jest? spytała Klaudya, wskazując na ciemną plamę na lewym boku, ale nim doktór mógł odpowiedzieć, zbladła, i głosem wzruszonym powiedziała:

— To krew.

Ale chociaż śmiertelnie zbladła i chociaż głos jej drżał, ręka którą odpięła kamizelkę i odkryła sztywną, zakrwawioną koszulę, spokojną i pewną była.

ROZDZIAŁ XXVII.

W hotelu pod Wołową Głową.

Przez całą tę noc De Benham leżał w żółtym pokoju, w hotelu pod Wołową Głową, w stanie odurzenia i nieprzytomności, który nie był snem ani czuwaniem. Przez całą tę noc żona go nie opuściła. Czasami dotykała łagodnie jego ręki żeby się przekonać czy słaby puls bił jeszcze. Czasami podawała mu wzmacniające środki, które instynktownie połykał nie wiedząc co za ręka podnosiła je do ust jego, i głowę jego podtrzymywała. Głębokie milczenie panowało w mieście, milczenie przerywane tylko przejeżdżającemi pocztowemi końmi, gwizdem lokomotywy na odległym dworcu kolei żelaznej, i dzwonami wygrywającemi kuranty co kwandrans na katedralnej wieży. Długie godziny tak sama siedziała przy słabem świetle dogorywającego ognia i lampy przyćmionej, słysząc nawet wśród tego grobowego milczenia chód miedzianego zegara na dziedzińcu; całą noc sama przepędziła, służąca jej tylko spała na kanapie w przyległym pokoju, i szwajcar hotelowy chrapał ubrany na swojem łóżku, gotów na pierwszy odgłos dzwonka mylady zerwać się i pobiedz po pana Laportaire.

Ale nocne godziny mijały wolno, szary brzask zaczynał się ukazywać na niebie, a De Benham ciągle leżał bez czucia, bez siły, zaledwie oddychając. Doktór powiedział żeby po niego posłano „gdyby jaka zmiana nastąpiła". Ale nic się nie zmieniało, ani nie zapowiadało zmiany. Nie zdawał się być gorzej, a z pewnością nie był lepiej, Najprawdopodobniejsza zmiana była, że po trochu przestanie oddychać i niepostrzeżenie z życia do śmierci przejdzie.

Dzień nastąpił, słońce weszło w swej chwale, miasto się zbudziło przy odgłosie dzwonów i napełniło się wrzaskiem i krzykiem. Doktór przyszedł, otworzył okiennice, odsunął firanki, wpuścił obfite światło, podniósł ociężałe powieki chorego, przysłuchiwał się leniwemu biciu serca, rachował wolne uderzenia pulsu i odszedł powtarzając to samo co wprzódy. Nie było co robić, trzeba było tylko czekać, i posłać po niego „jak tylko nastąpi zmiana".

Dzień przeszedł zwolna; ruch i zgiełk ranny się uspokoiły; dopiero ku wieczorowi miasto znowu się ożywiło i muzyka na rynku znów ściągała słuchaczy, a De Benham ciągle leżał pomiędzy życiem i śmiercią, małżonka w wigilię dopiero zaślubiona czuwała nad nim z wytrwałą energią. Nie okazywała smutku, nie płakała, nie nudziła doktora pytaniami; niespokojności jej dowodziły tylko milczenie i czujność. Dwa razy w ciągu tego długiego i smutnego dnia, służąca przyszła ją prosić żeby się na chwilę położyła i przespała, lub żeby przynajmniej na pół godziny wyszła i odetchnęła świeżem powietrzem, ale nie chciała o tem słyszeć.

— Nie jestem zmęczona, mówiła. Nie mogłabym spać choćiażbym próbowała.

— Ale się mylady zmęczy, i jeżeli jeszcze tej nocy będzie czuwać...

— Będę czuwać tej nocy, ale mogę to uczynić nie męcząc się zbytecznie. Zapominasz jak silną jestem.

Służąca odeszła potrząsając głową i wzdychając i powiedziała Brunonowi, że dotąd nie myślała żeby mylady tak dbała o mylorda.

Bo prawdą było że Klaudya dotąd o niego nie dbała jak teraz. Ceniła go, admirowała, dumną była z jego zalet, pragnęła poznać jego przeszłe życie, mieć udział w jego zamiarach i upodobaniach, łącznie z nim pracować nad wszystkiem co mogło dopomagać do osiągnięcia jego celów i schlebiać jego dumie rodowej, ale go nie kochała. Dopiero kiedy go ujrzała zupełnie bezsilnym, serce jej napełniło się tą dziwną litością, która nie tylko podobna jest do miłości alè jest jej częścią żywotną. Widząc go tak zależnym od siebie i tak nieświadomym swej zależności, cała uśpiona czułość jej natury wyszła na jaw, choć nie wiedziała dotąd, że uczucie silniejsze od litości i od obowiązku władało nią. Kładła na karb obowiązku całe swoje poświęcenie, mówiła sobie że powinnością jej, jako żony, było doznawać niespokojności, czuwać nad nim, służyć mu, ale się nie domyślała, że te obowiązki coraz więcej miejsca zabierały w jej życiu.

Będąc więc rzeczywiście silną moralnie i fizycznie, mogąc znosić zmęczenie i brak snu, wytrwała i siedziała dzień cały, jak noc całą, blada, poważna, milcząca, czekając na zmianę.

Przyszła nareszcie gdy zmrok zapadał; puls tak leniwo bijący ożywił się i zdawało się że krew prędzej krąży pod śmiertelną bladością lica. Klaudya w pierwszej chwili myślała że nastąpiło polepszenie, ale niedługo rumieniec stał się gorączkowym i puls uderzał coraz silniej i nieregularniej. P. Laportaire, kiedy przyszedł, zastał chorego jęczącego i rzucającego się po łóżku, nieprzytomnego zawsze, ale nie bezsilnego, gdyż ogień gorączki go ożywiał.

P. Laportaire widząc to, pogłaskał brodę, potrząsł głową i powiedział:

— Tak, gorączka; spodziewałem się tego.

I napisawszy nieczytelną receptę, zaczął badać Klaudyę o różne rzeczy, dowiadując się jakim rodzajem broni była zadana rana De Benhama, jak długo był chory w Horcie, jakim był stan późniejszy jego zdrowia, i wiele innych szczegółów, na które mogła tylko odpowiadać w sposób niejasny i niezadawalniający.

— Wiedziałam że mąż mój był ranny, [illegible] wiedziała, i że z powodu zmęczenia, niewygody i braku starania, chorował na gorączkę na wyspach Azorskich, ale nic więcej nie wiedziałam.

P. Laportaire pogłaskał znów swoją brodę.

— Nie jest to tak bardzo niezwyczajny przykład, powiedział namyślając się. W czasie wojny, albo raczej na początku pokoju następującego po wojnie, często spotykamy rany niechcące się zagoić, i sześć razy na dziesięciu, ranny nie chce się przyznać że cierpi. Ludzie się jakoś wstydzą powiedzieć że mają ranę niezagojoną.

— Wierzę temu, rzekła Klaudya.

— Mąż pani musiał codziennie prawie widywać doktora.

— Nigdy o tem nie słyszałam.

— Uważałaś jednak pani że od jakiegoś czasu był cierpiącym?

— Widziałam że nie był zupełnie zdrów, a jednak nadużywał swych sił.

— Musiały być jednak oznaki, symptomata, mówił dalej p. Laportaire. Sen jego musiał być niespokojny, humor drażliwy, smutny, jakby go tajemna troska przygnębiała.

— Być może iż tak było, odpowiedziała, ale ja nic o tem wszystkiem nie mogę powiedzieć.

Potem widząc zdziwienie malujące się na twarzy lekarza, dodała głosem cichym ale z dziwną powagą i skromnością:

— Wczoraj się odbył nasz ślub.

— O pani!

(D. c. n.)

Druk J. Noskowskiego Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 18 (30) Декабря 1875 г.